

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 15

WARSZAWA, 10 KWIETNIA 1926 R.

CENA NUMERU 80 gr.

ZASADNICZA PRZEMIANA

SOCCJALISTYCZNY sposób myślenia dlatego wziął się tak głęboko w naszą umysłowość, że znalazł atawistyczny podkład w starszylacheckiej naszej kulturze. Kilka pokoleń dawniejszych przywykło do „wieszania się u pańskiej klamki“, czyli do dobrowolnie niewolniczego zrzucania z siebie troski o sprawy publiczne i własne prywatne na możnego protektora — wystarczyło więc zamienić magnata na państwo, stronnictwo, magistrat, instytucje społeczne, aby obywatel uczuł się nadal nieletnim, niewłasnowolnym i zażądał dla siebie wszystkiego od rządu, sejmu, gminy. Tkwi w tem brak dumy, poczucia godności własnej, jakoteż brak ochoty do wysiłku. Na lekki, unізonością i zaprzędanie duszy okupiony chleb szedł poplecznik na dwór magnata tak, jak dziś ubiega się o posadę, protekcję stronnictwa, lub o życie na koszt przedsiębiorcy, rządu, czy instytucji społecznej. Zmieniono formę, ale treść została ta sama, pokryła etykietą socjalnej demokracji i nazwana postępem.

Myśli się teraz i pisze dość dużo o rewizji pojęć. Dla ratowania państwa konieczna jest jak najrychlejsza rewizja pojęć o stosunku państwa do obywateli, tudzież obywatela do społeczności, do organizacji, zawodów, do państwa, a przede wszystkim do samego siebie. Nie może być niezależne państwo, którego obywatele mają duże niewolnicze. Nie może być potężny naród, którego członkowie zwalają odpowiedzialność za swój własny los na innych, chcą żyć na koszt drugih i lękają się wysiłku. Nie może wytwarzać dóbr nowych i bogactw społeczeństwo, którego osobnicy uciekają od pracy, myślą o spekulacji i dążą do rozdrapywania dóbr, jakie jeszcze ocalały po wojnie, zamiast wynajdywania nowych źródeł wytwórczości i produkowania nowych bogactw.

Ale te walory, jakich nam potrzeba, nie obudzą się w społeczeństwie, dopóki będą krępowane przez ustawy i zarządzenia utrudniające, albo wprost uniemożliwiające ich obudzenie się i rozwój.

Przez to stwierdzenie odrazu ustala się droga, która może doprowadzić do pożądanej zmiany na lepsze. Trzeba przeobrazić z gruntu własne nasze zapatrywania, wyzbywając się utartych nałogów myślenia i przez stosowną propagandę przemianę tę rozszerzyć na jak największą liczbą obywateli. Przy tej wewnętrznej rewizji pojęć potrzebna jest niezmordowana czujność i ciągły samokrytycyzm. Każdy może się złowić na słabości względem nabytego nałogu i ilekroć spotka jakąś trudność społeczną czy gospodarczą przychwycić się na gorącym uczynku tej słabości, mianowicie na chęci zrzucenia trudności na barki państwa. Należy stale odróżniać dwie dziedziny kompetencji państwa: dziedzinę kontrolującą i regulującą, tudzież dziedzinę czynną, wytwarzającą, i dobroczynną. Pierwszą należy rozszerzać, drugą możliwie ścieśniać. Każdy monopol jest zabieraniem obywatelom źródeł wytwórczości i zarobkowania. Każde państwowe szafarstwo ziemią, drzewem, węglem, mieszkaniem, kredytem, środkami żywności i t. d. jest zamykaniem tej dziedziny działalności przed przedsiębiorczością obywateli, zabagnianiem jej przez ciężką i kosztowną administrację, oraz oddawaniem jej na wpływy partyjne. Opiekę społeczną może i powinno państwo narzucić za interesowanym, ale samo brać jej na siebie nie powinno, bo wtedy staje się instytucją albo dobroczynną, albo wyżyłkową. I najczęściej, kiedy obywatel woła: „niech państwo zrobi to a to“, woła nieświadomie o rozszerzanie socjalizacji ze wszystkimi jej złymi następstwami.

Dlatego właśnie istotne przeobrazenie pojęć jest u nas tak trudne. A musimy go dokonać naprzód w sobie, jeżeli nie chcemy dopuścić do upadku państwa przez powszechną nędzę.

To przeobrazenie pojęć powinno postawić przed sobą dwa cele, jako środki, prowadzące do pełnego uzdrowienia. Jeden dalszy, a jest nim stosowne wychowanie młodego pokolenia. W tem młodym pokoleniu trzeba

obudzić godność własną, samodzielność, poczucie odpowiedzialności i przysposobić na prawdziwie własnowolnych obywateli. Młodzież musi się wychowywać w tem przekonaniu, że jej praca i zdarność sama jedna zapewni jej przyszłość — musi nabrać takiego poczucia godności własnej i szlachetnej dumy, że z oburzeniem odrzuci od siebie wszelkie miłosierdzie i łaskę, że nie w protekcji lecz w wartości własnej upatrywać będzie sposoby wybijania się w górę i że za cel postawi sobie pracę, wytwarzanie nowych dóbr, wznoszenie się coraz wyżej własnymi wyłącznie siłami. To cel rewizji pojęć gospodarczych i społecznych dalszy.

A bliższy jest prosty i dość ciasny, ale bardzo ważny. Chodzi o przeobrażenie ustawodawstwa i urządzeń państwowych socjalistycznych na umożliwiające rozwój indywidualnej inicjatywy i sprawności.

Dzisiejszy sejm nie przeprowadzi tego przeobrażenia. Chodzi o to, żeby nowy sejm był do tego zdolny. Ponieważ do wyborów jest jeszcze trochę czasu, można te nowe wybory przygotować. Wszyscy, którzy zrozumieli całą szkodliwość socjalizacji, powinni się w miarę sił i możliwości do tego przyczynić. Nie jest to tak trudne. Rozumieją i odczuwają potrzebę naprawy nie tylko włościanie, ale nawet wielu z pośród socjalistycznych robotników. Największa trudność jest u inteligencji, która nie umie wyleczyć się z nałogu socjalistycznego myślenia i socjalizujących kompromisów. A tylko ona jedna, jako ogarniająca szerszy widnokrąg zagadnień, jest powołana do tego, żeby dać formę, doktrynę, uzasadnienie tym poczuciom, zbudzonym w ludzie.

Praca przygotowawcza powinna polegać na wykazywaniu przy każdym zjawisku biedy, niedomagań i nie-szczęść zawsze jednego początku i źródła, mianowicie socjalizowania. Żadnych stronnictw być nie powinno przy nowej walce, tylko dwa zasadnicze poglądy społeczno-gospodarcze: socjalistyczny i nie-socjalistyczny. One tylko powinny się zmierzyć z sobą, ale zmierzyć po takim uświadomieniu i sobie i mas, żeby w wyniku dały tylko dwa bloki bez żadnych pośrednich, przejściowych cieniowań. Socjaliści na swój własny rachunek zdobywali dotąd jedną dziesiątą miejsc w sejmie. Byli

jednak przepotężni, bo we wszystkich stronnictwach na prawo od siebie posiadali zwolenników częściowych swojej doktryny. To też wypaczyli całe nasze ustawodawstwo i skrzywili nasz ustrój.

Niech do nowego sejmu zdobędą nie dziesiątą, ale trzecią część mandatów, ale niech wszyscy posłowie, którzy nie należą do socjalistów, mają wyraźny, uświadomiony, własny program, to będzie można przeobrazić nasz ustrój samobójczy. W tej walce o istnienie państwa nie może być kompromisów — wszak gubiły nas już kompromisy narodowców z socjalizmem. Obóz antysocjalistyczny powinien być jednolity, śmiały w swoich dążeniach do zmiany ustroju. Odsunąć od niego należy wszystkie jednostki bez wyrazu, wszystkie pośredniości i kompromisowości. Bo jeżeli pod firmą antysocjalistyczną przemyci się mnóstwo pół i ćwierć socjalistów, to państwa nie uratujemy, bo nie zmienimy ani ustroju, ani ustawodawstwa, ani urządzeń.

Ludzie bojaźliwi i połowiczni, a takich mamy niestety wielu, pomyślą, że walka z socjalizmem jest zapręceniem różnych pożytecznych urządzeń społecznych. Jest to błąd. Najpożyteczniejsze urządzenia społeczne przeprowadziły przed wojną rządy konserwatywne w Anglii i rządy junkierskie w Prusiech, bo kierowały się interesem całego państwa. Socjalizm przeprowadza społeczne urządzenia dla dobra partji i w myśl jej doktryny przeciw reszcie społeczeństwa, a często przeciw państwu — masy zaś są u niego środkiem, a nie celem.

Streszczam się: Nie mamy kapitału, a potrzebujemy go. Zmieńmy więc ustrój, ustawy i urządzenia tak, aby własny kapitał stworzyć i obcy znęcić. W dzisiejszej nędzy głównem, a raczej prawie jedynem jest zagadnienie gospodarcze. Popatrzmy temu zagadnieniu śmiało w oczy i wyciągnijmy stąd pełne konsekwencje. Gdy chodzi o przeobrażenie całkowite, nie ma miejsca na półśrodki i półsłówka.

Gdy ta myśl przeniknie umysły aż do dna, gdy zostanie przeprowadzona i uświadomiona w miljonowych masach, po rewizji pojęć w intelektach może i powinno przyjść przeobrażenie w ustroju i w prawach.

JAN ZAMORSKI

SKARB NARODOWY LITERATURY, NAUKI I SZTUKI

II

SPOSÓB POBORU I KONTROLI. Zasada powinna być, że każda osoba, rozpowszechniająca dla celów zarobkowych dzieła twórczości dawno zmarłych autorów, sama w chwili wypuszczenia książki albo po zamknięciu kasy teatralnej lub koncertowej zeznaje swój dochód *brutto* i uiszcza odpowiednią kwotę; za fałszywe zeznanie powinna grozić zapłata różnicy zwielokrotnionej. Poza tem skoro już ustawa o prawie autorskiem pozwala autorom sprawdzać w drukarni, ile drukuje się egzemplarzy dzieła i w tym celu wejrzeć w księgi zamówień oraz faktury, to podobny wgląd powinien też przysługiwać Zarządowi Skarbu Narodowego Literatury, Nauki

i Sztuki. Kontrolę ułatwi ta okoliczność, że nad dochodami z widowisk czuwają we własnym interesie zarządy miejskie. Możnaby zobowiązać księgarzy, drukarzy, przedsiębiorców koncertowych, dyrekcje teatrów do składania perjodycznych, np. miesięcznych sprawozdań Skarbowi N. L. N. S. z finansowego wyniku tych przedsięwzięć, które podlegają opodatkowaniu. Znacznie uprościłoby i pobór i kontrolę wprowadzenie znaczka (*un timbre volant* jak to nazywają Francuzi), którymby nakładca musiał opatrzyć każdy egzemplarz sprzedawanego dzieła. Oczywiście sposób, termin i wysokość poboru stoją w ścisłej wzajemnej za-

ležności. Wątpimy np., czy w obecnym stanie pauperyzacji przedsiębiorstwa wytrzymałyby pięcioprocentową opłatę, ściągana zgóry, ktokolwiek też proponuje podwyższenie opłaty ponad 2% powinien przewidzieć możliwość rozłożenia jej na raty. Później stan rzeczy może się zmienić na lepsze. W każdym razie sposób poboru i kontroli musi być możliwie prosty, bo ze skomplikowaną procedurą nie da sobie rady szczupła administracja Skarbu, a na administrację „rozbudowaną” nas nie stać.

ORGANIZACJA Skarbu N. L. N. S. powinna być tania, sprawna i niezależna od takich wpływów, któreby całą instytucję zepchnęły na fałszywe tory. Jeżeli podatek dotknie wszystkich gałęzi umysłowej twórczości, t. j. literatury, nauki i sztuki, to w skarbie powinni gospodarować przedstawiciele tychże gałęzi; jeżeli źródło dochodu będzie mniej wszechstronne, to i skład grona rządzącego może być bardziej jednostronny. Zupełną niezależność od polityki aktualnej zapewniłoby się Skarbowi, powołując do jego Rady wyłącznie przedstawicieli organizacji oraz instytucji literackich, naukowych i artystycznych. Zważywszy jednak, że stan owych organizacji i ich przyszły stosunek do Skarbu mogą budzić pewne wątpliwości, a ich zgoda i zdolność do przedmiotowego traktowania sprawy nie są też zgóry zapewnione, nie zawadzi dać miejsca w Radzie także uczynom, literatom, artystom mianowanym przez ministra W. R. i O. P., oczywiście mianowanym na pewien czasokres np. na 4 lata. Liczba członków mianowanych bez prezentacji mogłaby wynosić jedną trzecią część ogółu Rady; a cały skład teje powinienby się zmieniać nie nagle, lecz stopniowo np. w połowie co 2 lata.

Rada układać ma ogólny plan gospodarki, dawać dyrektywy Zarządowi, rozpatrywać skargi odwoławcze od decyzji Zarządu. Posiedzenia jej odbywałyby się raz na kwartał, trwałyby najwyżej po kilka dni. Członkom płaciłby Skarb N. L. N. S. skromne diety i zwracałby koszty podróży. Wykonanie w szczegółach dyrektyw Rady spoczęłoby na barkach Zarządu, t. j. Prezesa (lub zastępcy), Sekretarza i Skarbnika — oraz Biura.

A owo Biuro, owa straszna „biurokracja”, co ma się tuczyć krwią i potem Skargi, Mickiewicza, Słowackiego? Jak ją sobie wyobrazić?

Pokój z jednym oknem o powierzchni 20 metrów kwadratowych; biurko, etażerka, szafy, półki. Na półkach Estreicher, Przewodnik Bibliograficzny i inne podobne czasopisma, podręczniki, biuletyny. Repertorium twórców, których dzieła mogą interesować Skarb. Pliki raportów bieżących według miejscowości i przedmiotu (np. Kraków: Teatr — Muzyka — Wydawnictwa etc.) Wszystko w ścisłej, przejrzystej ewidencji. Płatny kierownik Biura pracuje ile zechce, lecz najmniej 8 godzin. Na 3 — 4 godziny przychodzi sekretarka-maszynistka. Perjodycznie, np. raz na miesiąc, kierownik Biura, albo jeżeli środki pozwolą, to jego pomocnik, objeżdża główne ogniska wydawnictw i widowisk celem załatwienia tych spraw trudniejszych, których przez listy nie dało się załatwić. Raz na kwartał kilkodniowa sesja Rady; raz lub parę razy na tydzień prezes, sekretarz i skarbnik Rady odbywają mniejsze posiedzenia na czele Biura, z dowolnym bezpłatnym i tylko doradczym udziałem innych członków Rady, obecnych w Warszawie.

Oczywiście, przy dobrych chęciach możnaby „rozbudować” Radę i Biuro o wiele wspanialej: utworzyć na całym piętrze Komisję kontrolującą, Komisję nadzoru nad komisją kontrolującą, Wydział kasowy, Wydział buchalterji, Wydział statystyczny, Biuro podawcze, Ekspedyt... Wszystko to jest możliwe pod warunkiem, że Minister W. R. i O. P., a z drugiej strony organizacje kulturalne

przeznaczą do Rady nie miłośników twórczości, lecz maniaków biurokracji, którzy w ciągu tygodnia zużyją na meble i bibułę cały fundusz naszego Skarbu. Szczęściem ani Minister oświaty, który według projektu ma sprawować nadzór nad działalnością tej instytucji, ani współpracujący z nim Minister Skarbu (Państwa), ani organizacje kulturalne, o ile wiadomo, takiej manji nie ulegają.

Sukces zależy od doboru ludzi i od dalszego zyciowego poparcia pracowników Skarbu N. L. N. S. przez organizacje literackie, naukowe i artystyczne; a wobec tego trzeba przyszłej instytucji wskazać taki cel, któryby interesował i pociągał literatów naszych i artystów.

CELE. Jednym zwolennikom naszego projektu zależy więcej na wsparciu materialnym ubogich, a nieraz wprost nawet głodnych twórców, innym — na poparciu dalszej twórczości. Do obu celów prowadziłoby umożliwienie wydawnictw, wystaw, reprodukcji, z których dochód lub część dochodu czerpaliby twórcy. Takiej pomocy potrzebują pisarze i artyści młodzi, nieznani, a załugujący na poznanie; weteranom należy się chleb dobrze zasłużonych. Co do nas, jesteśmy zdania, że na pensję, stypendja, zapomogi osobiste jednorazowe powinna iść najwyżej jedna szóstą część dochodów Skarbu. Najmniej jedną szóstą należy odkładać do funduszu żelaznego; resztę zużywać w ten sposób, aby literatura, nauka i sztuka czerpały z niej siłę możliwie bezpośrednio i z możliwą oczywistością: jeżeli stypendja, to na rzecz osób godnych i na cele wyraźne, dające się skontrolować, jeżeli wydawnictwa, to dzieł wybitnych, jeżeli pracowni, to pod umiejętnym kierownictwem. Dalszy dochód z przedsięwzięć Skarbu oczywiście pożądany, ale dochodowość nie będzie tu najwyższym kryterjum.

Pozostaje pytanie poniekąd drażliwe: jak p o d z i e l i ć dochód między literatów, uczonych i artystów. Możliwe są różne zasady. Najpierw zasada proveniencji: literatura piękna niech się żywi z literatury pięknej, sztuka ze sztuki, nauka z nauki. Inny podział, słysząc, byłby niesprawiedliwy, gdyby np. nauka korzystała z poczytności „Pana Tadeusza”. Zasady tej nie uznajemy. Nic nie wskazuje, by prof. Mickiewicz, geograf Pol, akademik Sienkiewicz, nie poczuwali się do pokrewieństwa z późniejszą nauką i tylko poetom, bellestystom życzyli z za grobu dostatków; znikąd nie wiadomo, by Skarga jedynie potomnych kaznodziejów dopuszczał do zysku z przedruku „Kazań Sejmowych”. A przecież takie spory o dziedzictwo materialne mogłyby sięgnąć głębiej: mogłyby w ramach „sztuki” muzyki wyrachować, że im się należy dzielić razy więcej, niż rzeźbiarzom, filozofowie mogliby powiedzieć, że z „podatku od Platona” ani jeden grosz nie powinien spaść do skarbca historii i t. d. Jesteśmy jedną rodziną, żywimy się nawzajem chlebem swych myśli i uczuć, wszelkie też wciąganie Mickiewicza czy Chopina do przymusowej organizacji ubezpieczeniowej w obrębie jednej branży wydaje się konstrukcją dowolną.

Również dowolnym byłby pomysł równego podziału zysków na cele literatury, nauki i sztuki. Zasadniczo najwłaściwszy byłby podział według potrzeb. Tu wprowadzić nasuwa się od razu szereg zarzutów praktycznych: jak zmierzyć owe potrzeby, według liczby pracowników, czy według ich skali życiowej, czy według braków różnych gałęzi naszej twórczości w porównaniu z przeciętną zagraniczną? Przytem pracownicy naukowci mają dziś być materialnie lepiej zabezpieczeni w uniwersytetach, niż wielu literatów i artystów, którym zato talent i szczęście daje w niektórych wypadkach zarobki nieproporcjonalnie wielkie. Nauka ma u nas swój wydział z nieocenionym Stanisławem Michalskim. Literatura go nie zna. Z tych to powodów, a nie dlatego, że przedruk Szajnochty da Skarbowi L. N. S. mało, a przedruk Słowackiego dużo, nie

można z góry zadekretować, że dochód tej instytucji pójdzie w jednej trzeciej części na literaturę, w jednej trzeciej części na sztukę i w jednej trzeciej na naukę. Coroczny budżet powinna układać Rada Skarbu z uwzględnieniem potrzeb wszelkiej twórczości, a rękojmię sprawiedliwego i racjonalnego podziału dochodów da nam jej skład: gdy żadna grupa nie będzie miała większości głosów, gdy dodatkowo przepisemy, że budżet ma być uchwalony większością dwóch trzecich głosów, to przedstawiciele odłamów dążyć będą do porozumienia, nie do majoryzacji, i zgodnie przeznaczać będą fundusze Skarbu

na te cele, które w danym roku wymagają szczególnego poparcia. O ile zgody takiej do pewnej daty nie osiągną, rozstrzygnie nad ich głowami minister.

Na zakończenie krótka uwaga. Wywody powyższe w paru szczegółach różnią się już od propozycji, zawartych we wniosku sejmowem. Czytelnik raczy to przyjąć, jako dowód, że zwolennicy Skarbu N. L. N. S. śledzą bacznie przebieg dyskusji, robią obliczenia, i gotowi są uwzględniać wszelkie życzliwe rady.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

O TRZECH POLSKICH „FAUSTACH”

IV

GDYBYM miał choćby w przybliżeniu zacytować i porównać wszystkie te miejsca, które zakresliłem i opatrzyłem uwagami w czasie krytycznego badania trzech świeżych przekładów — rozprawka niniejsza rozrosłaby się w sporą książkę. Sądzę jednak, że podane cytaty wystarczą. (Gdyby ktoś chciał mnie ciągnąć za język, służę dalszemi porcjami). Zanim jednak przejdę do wniosków i uogólnień, poświęcić muszę jeszcze nieco miejsca spostrzeżeniom luźnym, układającym się w grupy i stanowiącym charakterystyczne objawy.

Na temat omawianej już dwojakiej ścisłości (ścisłość filologiczna, dosłowna — i ścisłość poetycka, wewnętrzna) przekłady „Fausta” dostarczają nieprzebranych skarbów obserwacji. Naprzykład: co jest bardziej prawdziwe: używanie w całym utworze ciężkiej formy „wy”, czy zastąpienie jej stylowem, polskiem „asan”, „waść” i „waćpanna” — jak to czyni Zegadłowicz?

W obrazie „Vor dem Tor” śpiewa żebrak pieśń, którą Kościelski i Wachholz tłumaczą wiernie i w słowach i w rytmie. Zegadłowicz, oddając jej sens, wkłada go w rytm dziadowskiej pieśni (tak w Polsce popularnej), przez co, mniemam, wierniej maluje nastrój mieszczański z żebraczem zawodem.

W tymże obrazie Stara Baba szepce dziewczynom przejryste propozycje: „Und was ihr wünscht, das wüsst' ich wohl zu schaffen.” Można to oczywiście przetłumaczyć ogólnikowo: „Jeżeli chcecie, stara wam usłuży” (Wachholz str. 42) albo: „Co macie w myśli, mogę łatwo sprawić” (Kościelski str. 45). Lecz ileż posmaku nabierają te nieczne szepty w słowach Zegadłowicza: „— gdyby coś tego — to stara pomoże...”

W obrazie „Chłopi pod lipą” lud śpiewa swawolną piosenkę:

Und tu mir doch nicht so vertraut!
Wie mancher hat nicht seine Braut
Belogen und betrogen!

Zarówno u Kościelskiego, jak u Wachholza słowa te brzmią dość zgrabnie, dosłownie, ale nie mają barwy ludowej; pachną literaturą. Zegadłowicz nie waha się wejść śmiało w folklor polski:

Hola, dziewczyno — nabierz tchu
a nie wierz chłopcu, jako psu,
nasłaje w żytko twe kółku,
a potem szukaj wiatru w polu.

W piosence tej Wachholz (str. 46) bardzo trafnie użył słowa „kiecki”.

Irzykowski pisał o Zegadłowiczu: „Nie zwycięża tłumacz trudności, lecz je omija”. Na to śmiem odpowiedzieć, że Zegadłowicz nawet nieraz trudności szuka. Oto dwa wielkie fragmenty, jeden przez Goethego napisany białym wierszem (cytowany wyżej), drugi — niewykończony widocznie — prozą (cała scena „Trüber Tag—Feld”), — Zegadłowicz w imię zwartości polszczyzny i w duchu poezji polskiej przekłada w ścisłych i pięknych rymach. Pohopny krytyk winien był zajrzeć do oryginału i twierdzenia swoje oprzeć na rzetelniejszej podstawie...

Żywotność tłumaczenia przejawia się także w takich na przestrzeni całej książki rozsianych drobiazgach: „Jägerhaus”, u Wachholza „strzelca chata”, u Kościelskiego „strzelnica”, u Zegadłowicza „leśniczówka”. „Nilpferd” — u Wachholza „koń Nilowy” (!), u Kościelskiego „hipopotam”, u Zegadłowicza „knur”. I tu uwaga: w Niemczech, gdzie liczne miasta mają ogrody zoologiczne, pojęcie „Nilpferd” weszło aż w przysłowie; u nas jest pojęciem dość obcem, Faust, zdumiony olbrzymieniem psa, nie może szukać terminu z podręcznika zoologii, lecz używa słowa najbliższego, określającego szpetną potworność zjawy: „knur”. Jeden z fejetonistów prowincjonalnych nazwał to nieporozumieniem... zoologicznym.

„Burgdorf” — obaj pierwsi tłumacze oddają dosłownie, Zegadłowicz pisze „folwark”. Scena z pudłem tylko u Zegadłowicza brzmi naturalnie. Czyż trzeba dowodzić, że do psa mówi się: „Uciszyć się piesku — nie skacz po pokoju — leżeć — cóż za lichol! — masz tu poduszkę — cicho! — nie warcz pies! — leż cicho lub się wynoś stąd!” (Zegadłowicz), — a do żadnego psa nie mówi się: „Zakończ to bieganie! Miej mój spokój na względzie! Zaprzestań wycia, zaprzestań szczekania!” (Kościelski str. 57, 59).

Męskie rymy są trudną stroną polskiego wierszowania; to też Kościelski piętrzy tu straszyla, żywcem czerpane z przekładów tekstów operetkowych: kras — czas, tak — jak, cię — mnie, gdzie — się, ty — mi, (prawie jak „dziewczę ty, spełń me sny...”). Pod kątem kunsztu wersyfikacyjnego u Zegadłowicza znaleźć można gdzieś tam słabostki, lecz jest to zawsze wiersz poety, mieniący się szeroką skalą barw, odcieniów dynamicznych i subtelnych naświetleń.

Mówiłem już o pustych i banalizujących wstawkach u Kościelskiego, łatających rytm, o owych częstych: wraz zgoła, istne, ninie, na schwał, wręcz, wprost, wszak, toć, snadnie, raczej, w tym względzie, w tej potrzebie. Mówiłem o rozdźwiękach fonetycznych, o skupieniach spółgłosek; bb, bp, zz, zs, kg, mm, ć, ci. Mówiłem o zbyt częstem opuszczaniu orzeczenia „jest” i „są” („co się rozumem zowie, z wykle próżnością i ciasnotą”;

str. 149. „Słów trzymać się—mą radą ostateczną“; str. 88). W przekładzie Kościelskiego są nieraz chybotania rytmu, są przeholowane licencje na rzecz rytmu i rytmu (na przełaje, dając się w znaki, wzięć za słowa, pijąc ich zdrowia, mamże się zalekać, bez zniechęty, mam w uwadze). Na pewne zwroty obce duchowi polszczyzny zwracałem już uwagę. Są i inne; np. oddawanie niemieckiego „man“ przez „się“: „Przyszły raz o tem sprawę się rozwinie“, str. 64. „Zbyteczne“ (bez „to...“) zamiast: nie potrzeba, str. 92. „Że mi uczynić prawie nic już nie zostało“, str. 171. „I coś robicie tu, starsi panowie“, str. 198. „Zanimście jeszcze raj stracili“ (noch bevor!), str. 201. Przytoczymy jeszcze parę lapsusów. „Słowu nie ujmiesz ani joty wcale“ (str. 88). „Rozpływać się w otoczu tej dziewczyny“ (str. 126) (!!). „Wam zaraz męża dostałby przysłało“ (str. 140). „Twym celem lubej wszak komora, a przecie nie śmiertelne kary“ (str. 163). I zaraz potem: „Kiedy zawisnę u jej łona“. Faust zawisa u łona Małgosil Niesamowity obraz! „Ciągłe całusy, zalecanka; No i nareszcie niema wianka“ (str. 174). „Nareszcie“ zamiast „ostatecznie“. — „Jej ból i rozkosz w piersi mej zastrzelę (?). Ku łonu jej rozszerzę głębię mego łona, Aby w końcu tak samo rozbić się, jak ona“ (str. 79). Aby rozwiać mimowolną tę pornografię, powiedzmy że „ona“ — to (zdaje się) ludzkość. „Zastrzelę“, to zdaje się omyłka w druku, a ma być „zestrzelę“. Ale to wszystko nie usuwa okropnej karykaturalności metafory! Tych „łon“ i „piersi“ nieanatomicznie rozmieszczonych jest wogóle zawiele u Kościelskiego.

*

*

*

Na podstawie tak naocznego i dość szczegółowego rozbioru dochodzimy do wniosków srogich. Umożliwwszy czytelnikowi osobiste wejście w przekłady dzieła Goethego i wyrobienie sobie własnego sądu, bez brania „na wiarę“ wyroków dorywczej krytyki, — nie zdziwimy go konkluzją poniższą:

Przekład prof. L. Wachholza, bardzo ścisły i pracowity, może spełniać w pewnej mierze rolę przekładu szkolnego (przy obecnym systemie pedagogicznym); na to zresztą, jak wskazuje forma wydawnicza, był zgóry przeznaczony. Ponieważ jednak nie oddaje czaru, finezji i natchnienia „Fausta“ — niezdolny jest wzbudzić zachwytu, miłości i kultu dla jednego ze szczytów ducha ludzkiego. Cel pedagogiczny natomiast w niemniejszym stopniu spełniać mogą stare, uczciwe i poczciwe przekłady, szczególnie Jenikego i Krajewskiego.

Przekład Władysława Kościelskiego, wydany w estetycznej szacie, pragnący dotrzeć do miłośników (jak to się mawia) piękna i myśli, przekład ten, niepozbawiony pewnych zalet, owoc ogromnej pracy i wielkich wysiłków (wysiłki te wszędzie przeświecają zastraszająco) — jest w sumie najzupełniej chybiony. Jest zatem niepotrzebny. Do użytku szkolnego polecić go nie można, gdyż zawiera wiele uchybień wobec polszczyzny. Jest rusztowaniem mozolnie skonstruowanym (niekiedy zmonstruowanym) z bierwion zdrowych i zgniłych, z drzazg i próchna; rusztowaniem, które pokryto girlandami dębówkami i bładem płótnem, pomalowanem pstro. Całość, oświetlona rampą pseudopoezji, mniej więcej ludzko naśladuje kunsztownie strzyżony, cudownie perspektywiczny szpaler w teatralnych ogrodach Semiramidy. Robota, jak kulisy, nie mająca strony odwrotnej. Płachty kołyszają się za lada stąpnięciem.

Oceniając tak surowo, daleki jestem od kpinek na temat pracy ludzkiej i kulturalnego wysiłku, — na co pozwolono sobie ostatnio w Warszawie w stosunku do przekładu Zegadłowicza. Tu właśnie podkreślić muszę z wielkim uznaniem rolę p. Władysława Kościelskiego w naszym ruchu umysłowym ostatniej doby. Współzałożyciel „*Polnische Bibliothek*“ w Monachjum i fundator „Biblioteki Polskiej“ zbyt wiele ma zasług na polu kultury, aby nie wzbudzać szacunku. Praca przekładowa (na język niemiecki), nacechowana dobrym smakiem, nie jest mu obca. W tym jednak wypadku nie skupiła się na właściwym przedmiocie. Powstał nie poetycki przekład, lecz wśród wszystkich najgorszy. Wielka szkoda mozolnego znoju i lat—niestety—straconych.

Nie ręczę, czy jedynie dobrym i rację bytu posiadającym będzie w przyszłości przekład Emila Zegadłowicza. „Faust“ zasługuje na kilka dobrych przekładów w każdym języku świata. Ostatecznie ktoś pragnący w całej pełni intelektem i wrażliwością psychiczną zgłębić dzieło Goethego, ma zawsze jedno tylko wyjście: nauczyć się języka niemieckiego tak, jak własnego i czytać oryginał. Zadaniem jednak przekładu jest wprowadzenie obcego dzieła w kręgi czytelnicze własnego języka, wcielenie go do literatury danego narodu. Może istnieć nawet przekład „Fausta“ w prozie (i ten będzie miał największe szanse dosłowności), coś w rodzaju „ściągaczki“ sztabackiej. „Faust“ nie miał dotąd w Polsce przekładu poetyckiego. Żadne z istniejących tłumaczeń nie mogło wzniecić i utrwalić żywego stosunku polskiego czytelnika do dzieła w tym stopniu, jak żywy jest nasz stosunek do Hamleta, Skąpca i Księcia Niezłomnego dzięki ich tłumaczom. Stosunek ten zaczyna teraz wkraczać w orbitę „aktualności“. Przekład, którego dotąd brak było, powstał pod piórem autora świetlistych „Godzinek“, żarliwych ballad o boskości prostaczków, wstrząsającej prawdy „Głazu granicznego“ i wspaniałej spiżowości „Alcesty“. Posiadamy oto przekład Pierwszej Części Fausta (będzie pono i druga), torując Goethemu nareszcie prostą drogę do serca polskiego i polskiej duszy.

Praca Emila Zegadłowicza nie jest wolna od skaz. Są to nieuniknione usterki, w większości dające się poprawić w korekcie drukarskiej. (Przekład, jak słyszę, ma się niebawem ukazać w Krakowie). Niektóre niedociągnięcia (np. „Und bin so klug als wie zuvor...“) wskazała krytyka stołeczna. Nie wskazała tylko sumy wyniku, zawartości całej bryły (bo jej nie знаła) i zwartości poezji.

Nie wskazała również jednego przymiotu, którym przekład Zegadłowicza góruje wysoko ponad wszystkimi: sceniczności języka. Rozmawiałem z szeregiem doskonałych aktorów, którzy to zgodnie przyznają, a którzy w głośnie czytaniu krztusili się tekstami Wachholza i Kościelskiego. Różnice te wykazałem zresztą powyżej w dostatecznej ilości przykładów. Teraz dopiero, od daty narodzin przekładu poetyckiego, polski „Faust“ i polski jego kształt sceniczny zaczyna być — zagadnieniem.

Zamykając koło przesłanek i wniosków, dochodzę do punktu wyjścia i na podstawie dokonanego rozbioru stwierdzam bezwzględną wyższość „Fausta“ Zegadłowicza nad innymi: Zegadłowicz, posługując się bujnym, giętkim i wielostronnym narzędziem słowa poetyckiego, rezygnując z formalnej ścisłości, wskrzesił „Fausta“ w języku polskim z uczuciowym żarem piękna i z wewnętrzną ścisłością natchnienia.

WITOLD HULEWICZ

ŚWIĘTY FRANCISZEK Z ASSYŻU

CHRYSTJANIZM nie jest niczem innym, jak naśladowaniem Chrystusa.

Chrześcijanin prawdziwy winien być ile możności, a nawet ponad własną możność, naśladowcą Chrystusa, Jego odbiciem, Jego obrazem. Lecz to wtedy tylko będzie możliwe, jeśli się patrzy na życie doczesne jedynie jako na rozpoczęcie życia wiecznego. Wszystkie obowiązki nasze sprawdają się do jednego: do wiernego odczytywania na klęczkach słów Ewangelji i stosowania ich w codziennym życiu, zbliżającym się coraz bardziej ku śmierci.

Bóg zstąpił ku nam i stał się Człowiekiem; człowiek powinien wznieść się ku Bogu i z Nim się zjednoczyć. Wszystkie inne cele, poza tym najważniejszym, są tylko brudnym śmietnikiem spraw doczesnych i rozkoszy zmysłowej, którą zwierzęta dwunożne nazywają życiem, święci—marnością. *Dii estis*—bogami jesteście—głosi Duch Święty przez usta Asafa, poety i proroka. A zdanie to, wyrzeczony w starożytności do Sędziów, zastosowane zostało później przez Chrystusa do wszystkich, którzy słuchają słowa Bożego, przyczem dodał Chrystus: „*non potest solvi Scriptura*”.

Możność stania się podobnym Bogu jest jedną z najcudowniejszych tajemnic, którą zgłębić mogą chyba aniołowie lub ludzie najbardziej uduchowieni. Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, czyniąc go niemal bogiem. Lecz z drugiej strony wróg odwieczny Boga, wmawia w człowieka, że jest on r ó w n y swemu Stwórcy. Uległszy tej złudzie, spada człowiek z wyżyny, na którą Bóg go wyniósł. Aby go zdobyć na nowo i podnieść po raz drugi ku sobie, Bóg przyjął na siebie postać, najbardziej wzgardzoną w oczach świata—człowieka ubogiego. W ten sposób została przywrócona ludzimu możność zdobycia Nieba. Chrystus naprawił zło, spowodowane przez wężą, dając przytem ludziom obietnicę, na pozór podobną do obietnicy węży w Raju. Na pozór, gdyż podobieństwo to raczej jest przeciwieństwem. Szatan, będąc wrogiem Boga, wskazuje drogę zarozumiałości i pychy. Chrystus, jako Syn Boży, naucza dróg pokory i miłości. „Bądźcie doskonałymi, jako i Ojciec wasz niebieski doskonały jest”. Zgodnie z istniejącą w planie boskim zasadą przeciwieństw, nie zdobędzie wszystkiego ten, kto się sam nie unicestwi, nie osiągnie najwyższego dobra ten, kto nie zwycięży zła, nie będzie potrafił zapanować ten, kto się nie stanie posłusznym.

Wcielenie jest największym aktem Bożej pokory, Odkupienie największym dowodem miłości. Bezpośrednie naśladowanie Stwórcy przewyższałoby siły człowieka. Bóg litując się nad nami, objawił się jako Druga Osoba pod postacią człowieka, byśmy łatwiej mogli go naśladować. Życie ziemskie Chrystusa było jakby mostem, rzuconym przez miłosierdzie Boga dla ułatwienia nam przejścia z mroków upadku ku słońcu zbawienia. Mając podobne nam zmysły i wolę, Syn Boży dał nam wzór żywy, jak mamy powstawszy z upadku podążać na szczyt Przemienienia. To też Chrystjanizm, z opowiadaniem Ewangelji i wspaniałością Liturgji Rzymskiej, nie jest niczem innym, jak wzywaniem do naśladowania Chrystusa i pomocą w naśladowaniu, książki zaś wspomagające ludzi w ich dążeniu ku udoskonaleniu się, jak księgi „O naśladowaniu Chrystusa” lub „Kwiatki Świętego Franciszka” czy też „Ćwiczenia duchowne Świętego Ignacego” nie są niczem innym, jak podręcznikami pouczającymi ludzi, jak mają naśladować Boga-Człowieka. Chrześcijan, którzy za życia swego najbardziej zdołali się zbliżyć ku Bogu, Kościół zowie świętymi. I właśnie pośród tych świętych,

którzy najgłębiej zrozumieli konieczność wzorowania się na Chrystusie, znajdował się święty Franciszek z Assyżu.

* * *

Wybacz mi, czytelniku, że powtarzam tu, tak zresztą niedołącznie rzeczy, o których każdy z nas wiedzieć powinien, gdyż o tem wszystkim głosili już w ciągu wieków wielcy przewodnicy chrześcijańscy. Lecz wskutek ignoracji opornych i obojętności wykonywających praktyki religijne mechanicznie, z przyzwyczajenia, te sprawy najdonioślejsze idą w coraz to większe zapomnienie, tak iż nawet elementarz życia chrześcijańskiego jest dla wielu dzisiaj czemś nowem.

Nie można sobie wyobrazić świętego Franciszka inaczej, jak czyniącego to, co nosi charakter wybitnie Chrystusowy. Życie jego wyjaśnia nam w sposób najbardziej zrozumiały tajemnicę świętości i poucza o konieczności naśladowania Chrystusa.

Tysiąc lat zgórą minęło od czasu spełnienia ofiary i wezwania nas do Siebie przez Drugą Osobę. Ewangelję głoszone milionom ludzi, liczne miasta miały swoich biskupów, w Rzymie zaś piastował swą godność, począwszy od Świętego Piotra, Zastępcą Chrystusa. Tysiące kopuły i wieżyc wznosiło się ku niebu, mając na szczytach zatknięte nieruchomo krzyże, jak lance modlącego się wojska. Kamienne groby świętych starte zostały i wyłożone kolanami i pocałunkami pielgrzymów. A jednak Bóg nie otrzymał dotąd należnego zadośćuczynienia. Wielu było chrześcijan z imienia jedynie. Pożądliwość i okrucieństwo opanowały nawet tych, którzy mieli je wyrwać z serc innych. I choć wielu także było świętych, było ich jednak za mało, nie wszyscy bowiem ochrzczeni stawali się, jak być powinno, świętymi.

Bóg więc raz jeszcze ulitował się nad naszą ułomnością, a może nawet nad naszym uporem i postanowił zesłać na ziemię nowego Pośrednika. Pośredniczyć on miał między ludźmi a Chrystusem, jak Chrystus między ludźmi a Bogiem. Ten nowy Pośrednik musiał być jednak w odróżnieniu od Chrystusa tylko człowiekiem, jak i On prawdziwym, lecz tylko człowiekiem, którego posłannictwem byłoby ponowienie, o ile to możliwe, przykładu Chrystusa. Wzorując się na nim, jako na istocie o wyłącznej ludzkiej naturze, łatwiej już mogli ludzie naśladować Chrystusa, a naśladować Chrystusa, jednoczyć się z Bogiem.

Chrystus bowiem, przyjawszy na siebie postać prawdziwie ludzką, nie przestał być jednocześnie Synem Bożym, czyli Bogiem prawdziwym. Więc choć Bóg nieskończenie zniżył się aż do nędzy własnego stworzenia, mogło się wydawać ludziom słabym, leniwym i oziębłym, że jest jeszcze zbyt oddalony od ich własnej natury. Chrystus tedy, nie opuszczając nas nigdy i kochający nas do doskonałości miłością tych nawet, którzy go nie znają, zesłał nam nowego swego Apostoła. Przyszedł ten Apostoł na świat na jednym ze wzgórz umbryjskich w pobliżu jeziora, w okolicy przypominającej może trochę Galileę. Zwał się Franciszek. Zbliżył go Chrystus, jak tylko to było możliwe, do Boga. Zdawałoby się, że Bóg tworząc św. Franciszka chciał ludziom powiedzieć: Uważajcie, że było trudno wam, którzy jesteście ludźmi jedynie, naśladować Człowieka, będącego jednocześnie Bogiem. Oto macie człowieka takiego, jak wy sami, maluczkiego, niepozornego, śmiertelnego, podległego wszelkim waszym żądom, słowem posiadającego wyłącznie Waszą słabą naturę, a który jednakże potrafił dostosować się w życiu do wzoru boskiego. Po przykładzie św. Franciszka nikt

się nie może tłumaczyć niemożliwością naśladowania Chrystusa, gdyż jeżeli jeden z ludzi zdołał stać się Chrystusowi podobnym, również i inni mają obowiązek ten w życiu.

Franciszek, istotnie, powtórzył jaknajdokładniej we Włoszech lekcję palestyńską, odtworzył życie Chrystusa, jak uczeń kopijący z przejęciem arcydzieło mistrza. Nie objawił żadnych prawd nowych, lecz ponownie pokazał uczynkami prawdy, objawione przed dwunastu wiekami. Nie umarł na krzyżu, lecz doznał łaski szczególnej noszenia stygmatów ukrzyżowania, do którego całą duszą swą tęsknił. Franciszek stał się jakby deską ratunku między grzesznikiem a Chrystusem, gdyż mając ten wzór przed oczami, łatwiej jest, chwyciwszy się go, wybrnąć z bagniska grzechów i dostać się do Nieba. Assyż w pielgrzymce życia naszego leży w połowie drogi od Jerozolimy, skały Vernji w połowie drogi na wzgórze Golgoty.

Od siedmiuset lat niema wymówek dla pielgrzymów, podążających w krainę Absolutu. Franciszek jest wprowadzie wobec Chrystusa, jak wązka ścieżynka wobec Drogi Królewskiej, lub szkic węglem wobec pierwowzoru żywego, lecz życie jego wzorowane na Panu jest dla nas wielką nauką, że drabina świętości jednym końcem zanurzona jest w mule grzechowym, drugim sięga progu drzwi niebieskich.

*

*

*

Znasz zapewne czytelniku życie świętego Franciszka, lecz choćbyś nawet go nie znał, nie mógłbym ci o niem dziś opowiedzieć. Potrafią to lepiej odemnie uczynić „Kwiatki” czy też „*Speculum perfectionis*”, „*Legenda trium sociorum*”, piękne karty pism świętego Bonawentury, a wreszcie dzieło żyjącego jeszcze przyjaciela świętego Franciszka, duńczyka, Jana Jaergensena, którego olśniło cudownie światło z Assyżu. Jabym zaś chciał tu jedynie zwrócić uwagę na szczegół najważniejszy, na pierwszą, że tak powiem, przyczynę świętości Franciszka.

Starając się naśladować Chrystusa o ile możliwości najwierniej, ani na chwilę nie dopuścił do siebie tej myśli, że czyni coś więcej ponad siły i elementarny obowiązek każdego chrześcijanina. Spotkała go jednak nagroda stygmatów za owo naśladowanie Chrystusa właśnie dlatego, że się czuł w głębi duszy niegodnym wszelkiej nagrody, że odkrył przy pomocy instynktu nieomylnego wiary wieczny sekret udoskonalenia: wzgardę dla siebie samego. Wyraz „pokora” był nieraz już nadużywany w mowie potocznej. Wystarcza, by się ktoś nie koronował własnymi rękami, albo się zarumienił, słysząc pochwałę, aby go już nazwano „pokornym”. W najwłaściwszym jednak znaczeniu, pokorą świętą jest obrzydzenie siebie samego i wzgarda dóbr posiadanych.

Święty zrozumiał, że aby zdobyć, trzeba wszystko opuścić, aby wznieść się, trzeba pojąć, że się jest na dole, aby się udoskonić najbardziej, trzeba poznać i wyznać własną nędzę, aby się zbliżyć do Boga, trzeba wyrugować ze swego serca miłość własną, największe zło naszej natury i przyczynę wszelkich upadków.

Święty Franciszek, jak i inni święci przed nim i po nim, powtarzał nieustannie, że jest niczem. Bóg w odpowiedzi na to powołał go do Nieba, czyli do jedynie prawdziwego życia i chwały, nad którą niema większej. Ze wzruszeniem czyta się w „Kwiatkach” w dziesiątym rozdziale odpowiedź Franciszka, daną bratu Maciejowi, gdy patrzył ze zdumieniem, jak wszyscy za nim chodzili: „Chcesz wiedzieć czemu za mną cały świat biega? Dały mi to oczy Boga najwyższego, które na każdym miejscu patrzą na dobrych i złych. Oczy te bowiem najświętsze nie

widziały wśród grzeszników nikczemniejszego, niedołęźniejszego, grzesznieszego ode mnie. I oto dla spełnienia zamierzonego cudownego dzieła Swojego Bóg nie znalazł podlejszego stworzenia na ziemi, przeto mnie wybrał, aby zawstydzić szlachetność i dumę i siłę i piękność i mądrość świata...”

Najbardziej heroiczną, a więc i najtrudniejszą do osiągnięcia formą pokory jest posłuszeństwo. I Franciszek posiadał tę cnotę w stopniu najwyższym. Posłuszny był przedewszystkiem wezwaniu Bożemu, posłuszny swemu Biskupowi, Papieżom, najprostszemu nawet z księży, w każdym z nich bowiem widział naczynie Boże, przeznaczone ku dokonywaniu cudów codziennych. I zreformował Kościół skutecznie dlatego właśnie, że nie zamierzał go zreformować, jak nadęci pychą odszczepieńcy, lecz zaczął od posłuszeństwa i uległości tym wszystkim, którzy są zgóry obdarzeni powagą w Kościele, czy będzie to Ojciec chrześcijaństwa na Stolicy Apostolskiej w Rzymie, czy najprostszy nawet duchowny w wiejskim kościółku. Postępował z całą prostotą ubitą drogą, lecz tem właśnie nanowo wskazał właściwą drogę chrześcijanom. Najzarliwszy ten sługa Ewangelji nie miał w sobie nic „ewangelicznego” w rozumieniu odstępców. Przyjął bowiem bez zastrzeżeń i tajemnice najbardziej nawet niedostępne dla rozumu i ofiary najsurowsze dla ciała, dowodząc tem raz jeszcze najcudowniej, że między Ewangelią a Kościołem niema żadnej niezgody, choć pragną ją widzieć liczni odszczepieńcy, których serce opanował szal pychy.

Święty Franciszek zdołał wcielić w swe życie nakazy Ewangelji z całą pokorą i poddaniem się Kościołowi. Ubóstwo i miłość ma w nim wzór najdoskonalszy, reguła zaś i dyscyplina ma w nim najlepszego rzecznika, słowem jest to święty *par excellence* katolicki.

*

*

*

Gdyby coś było na świecie, coby zdołało przyciemnić aureolę świętych, widziałbym to w powodzeniu, czy raczej modzie, jaką się cieszy syn Piotra Bernardoniego wśród tych, którzy najmniej zdolni są słuchać go lub naśladować. Pół wieku już mija, a może i więcej, odkąd o świętym Franciszku, jedynym może z pośród najgorliwszych gwałtowników Nieba, odzywają się z łaskawem uznaniem potowiczni chrześcijanie o krecich oczach, a nawet liczni bluźniercy, pozostający na służbie szatana. Życie „Prostaczka z Assyżu”, skrzętnie odarte z wszelkiej nadprzyrodzoneści, której nie znoszą „ludzie nowocześni”, dopuszczono łaskawie między książki, które mogą stanowić przyzwoitą rozrywkę dla panów lub pań, „idących z duchem czasu”, zwłaszcza jeśli są napisane przez protestanta, a jeszcze lepiej, przez szarlatana uważanego za spiritualistę. Ci, którzy nie wierzą nawet w istnienie Chrystusa, uznają historyczność, owszem, więcej jeszcze, doskonałość Franciszka. Protestanci wzięli jego jednego tylko z pośród wszystkich bohaterów katolickich pod łaskawą opiekę swego racjonalizmu. Chrześcijanie ci o naturze nietoperza, w którym mysz ziemską przeważa nad ptakiem powietrznym, jedynie Franciszka uważają za godnego swojego wyboru, gdyż jako święty idealny, jak powiadają, i prawdziwie doskonały, jest nieustannym wyrzutem dla wyszukanych subtelności teologicznych i pogąńskości Kościoła. Innych świętych nie uznają. Święty Benedykt jest dla nich włodarzem modlitwy, Święty Dominik jest cały zaczerwieniony od krwi heretyków i ognia stosów, Święty Bernard zbyt arbitralny wśród ciemności średniowiecza, Święty Ignacy—to ciemny patriarcha królobójców. Podobnie mówi się też o innych, Oto do czego dochodzi nienawistna i uparta ignoracja tych.

k którzy chcieliby wprawdzie uważać się za chrześcijan, lecz nie chcą uznać Chrystjanizmu doskonałego, który polega jedynie na postuszeństwie bezwzględnej nauce Rzymu.

Święty Franciszek jest dla nich świętym wygodnym, poufałym i pożytecznym, który wszystko wszystkim przebacza, który przemawia do ptasząt i jednocześnie wyciąga rękę do wilka, który się nie gubi w zawiłościach dogmatyki, lecz owszem, jest nawet poetą. Słowem jest to święty, dany na igraszkę tym dyletantom, którzy fruując dokoła kwiatów wiary, uważają się za pszczoły, gdy tymczasem w rzeczywistości są osami, nie dającymi miodu.

Ci nowocześni przyjaciele Świętego Franciszka, którzy z pełnego pokory Pokutnika Porciunculi uczynili gładko uczesaną i wesołą postać z gołębiem na ramieniu, wypaczyli również miłość jego w jakąś cikliwą wodnistą słodycz w mistycznych płucach anemicznych utworów literackich, stygmaty zaś przekształcili w zwykłe dekoracyjne tatuowanie, będące skutkiem autosuggestji. Obmierzłe jest naprawdę to fałszowanie prawdy franciszkańskiej dla tych wszystkich, którzy czczą we Franciszku pokorę naśladowcy Chrystusa, uległego Biskupom i Papieżom.

Rzym

JAN PAPINI

HYMN O ŚW. FRANCISZKU Z ASSYŻU

(W 700-ną ROCZNICĘ)

W SWEJ gonitwie za złotem i krwią obryzgary,
patrzy świat w Twych Stygmatów Przenajświętsze rany,
które Ci otwarł Chrystus Pan Ukrzyżowany.

Najmiłościwsze blaski przez wieki z nich płyną,
odkąd z szczytu Alverno, Boży Biedaczyno,
gdy inni poszli górą — Ty szedłeś doliną.

Oblubieniec Twój zstąpił w sześcioskrzydłym locie
i znalazł Cię w pokucie, we łzach i tęsknocie
i tchnął na Cię Swej Męki Znaki na Golgocie.

Miał ogniste dwa skrzydła rozwiane nad głową
i szumiał Mocą wielką i błyskawicową
i przenajśłodsza serca pozdrowił Cię mową:

„A iżeś szedł doliną, gdy inni szli górą,
„oblekam Cię mej Łaski wieczystą purpurą,
„i chcę, abyś mą Mękę dziś przecierpiał wtórą.

„Ty ubogi, pokorny i czysty mój Bracie
„oto Ran mych pięcioro Cudem spłynie na Cię
„i będziesz poprzez wieki trwał w świętym Szkarłacie.

„Przeto-żeś wór przyodziął miast jedwabne szaty,
„przeto-żeś zamiast pasa sznur nosił włochaty,
„daję Ci oto Męki mej Tajne Stygmaty.

„I jakom ja z Otchłani wywiódł ongiś duchy,
„tak Ty będziesz zstępował w dzień śmierci Twej głuchy,
„by grzeszników z czyścowej wyrwać zawieruchy,

„A jakom ja uczynił to Ran moich Mocą,
„tak przed Tobą przepaście światłem zamigocą“...
Tak mówił Pan do Ciebie oną dziwną nocą.

Miał nad głową rozwiane dwa skrzydła ogniste,
a cztery Mu wzdłuż ciała legły uroczyste,
tedyś wargi zbładłymi szeptał: „Chryste... Chryste...”

I poczułeś w tej chwili, że jak latem róże,
u Twych rąk, nóg i boku Rany kwitną duże,
przebolesne, we wiecznie sączącej purpurze.

I poczułeś w tej chwili gwoździe nóg i dłoni,
i dzidę co o serce, jak o rubin dzwoni,
uczuleś Mękę Bożą — i śmiałeś się do Niej.

Bo prócz bólu, co targał umartwione ciało,
coś anielską słodyczą wewnątrz Ci zalało,
a Seraf sześcioskrzydły w mgłę rozwiął się biały.

I tak w niemym zachwycie, w krwawieniu Ran oto
trwałes trawion Miłością, bezkresną Tęsknotą
zasię góra Alverno gorzała jak złoto.

Przeto, że inni górą, a Tyś szedł doliną,
Siostra Twa Klara — różą, a Tyś jest — Kaliną,
której krwawe korale w soplach krwi Twej płyną.

I dziś Ona jest Panią na Niebieskim Dworze
a Ty, któryś był mnichem w najcichszym klasztorze,
stąpasz oto przez złotych gwiazd gościńce Boże.

A senna dusza świata pychą żądy chora,
niepomna złotych świtów wśród swego wieczora,
darmo szuka cierpieniu swojemu znachora.

Więc bezwiednie obraca swe znużone lice,
gdzieś w Assyżu Ubóstwa założył Stolicę,
aż się dziwi brat—słońce i bracia—księżyce.

Bowiem uczysz swem życiem przez wieki i lata,
iżę Mądrość prawdziwa, to pogarda świata:
w Bogu mieć—przyjaciela, a w człeku zaś—brata.

I że Miłość, Ubóstwo, Czystość i Pokora,
to Anioły, wiodące do Rajskiego Dwora
i czuje to—choć błądzi—dusza świata chora.

Bowiem ptactwo ma gniazda a jamy ma liszka,
lecz niczego nie wolno mieć braciom Franciszka,
od gwardjana począwszy aż do braciszka.

Jeno Miłość, Pokorę, Czystość i Ubóstwo,
wór z powrozem na grzbiecie, a w oczach łez mnóstwo,
zasię w sercu Chrystusa Łagodność i Bóstwo.

I na jedną im tylko wolno wspiąć się górę,
tam, gdzie Seraf na Ciebie Stygmaty zwiął wtóre,
bo zawsze brną doliną przez mroki ponure.

Tedy Bracia—kaliną, a Siostry—jak róże,
kwitną w dymach kadzideł, w celach i na chórze,
one wznoszą rąk lilje, oni—mszalne kruże.

Siostry będą Paniąmi na Niebieskim Dworze
Bracia zasię, co w cichym pobledli klasztorze,
będą Boga oglądać twarzą w twarz, jak zorze...

Bo gdy tłum parł się górą, szli za Nim doliną,
i kielichy goryczy spijali jak wino,
przeto świat cały minie, oni — nie przemina...

GABRIEL TADEUSZ HENNER

LIBERUM VETO

Niegrzeczny projekt. — Wymaganie samobójstwa. — Obcięcie kieszeni. — Co by to było. — Niech żyje Polska dla pasorzytów. — Targ i kompromisy. — Jednakże skutek w różnych głębokościach przepaści. — Dziś i jutro. — Druga wojna. — Poddanie się lub zwycięstwo.

ZWIĄZEK Ludowo-Narodowy wniósł do sejmu dziwne impertynencki projekt: zmniejszyć liczbę posłów i senatorów o połowę. Zważmy bowiem, kto ma tego dokonać. Sami posłowie. Najwyższy rekord niegrzeczności. Wprawdzie zdarzały się już w dziejach wypadki zmuszania kogoś do samobójstwa lub współudziału w wykonywaniu na nim wyroku śmierci: jednemu z dostojnych winowajców podczas rewolucji Kościuszkowskiej brat posłał do więzienia truciznę; jednemu ze skazańców podczas rewolucji francuskiej kazano ustawić dla siebie gilotyń, działało się to jednak bądź z niemożności ocalenia życia, bądź z gwałtu. Ale nasi posłowie mogą i chcą żyć, a nikt nie ma władzy zmuszenia ich do samobójstwa. Chociażbyśmy zaś wątpili o ich wszystkich przymiotach ustawodawczych, nie wątpimy ani na chwilę, że bardzo punktualnie zgłaszają się każdego pierwszego dnia miesiąca po odbiór zasłużonych a raczej wysiedzianych djet. Wykonują tę czynność tak chętnie i sumiennie, że gdy nieraz po odegraniu muzyki jazzbandowej na pulpitych i spluwaczkach, wyjdą z sali, ażeby uniemożliwić głosowanie, jeśli to wypadnie w dniu wypłaty, zgromadzą się przy kasie w zupełnym komplecie. Zapewne, wpływa na tę akuratność poważna suma około 1000 zł. miesięcznie, otrzymywana nawet przez tych, którzy nic nie robią, tylko śpią na fotelach, jedzą w bufecie i na komendę podnoszą się lub przechodzą przez wskazane drzwi; ale nie można zaprzeczyć, że pobieranie djet należy również do funkcji poselskich, wskazanych przez konstytucję. Nie łagodzi to szorstkości wniosku, żądającego redukcji naszych sił ustawodawczych tylko o połowę, że w nich jest więcej niż 50% Solonów i Likurgów bezczynnych i pozornie zbytecznych, bo przecie naczelne hasło naszego prawodawstwa i administracji — ochrona próżniactwa i niedopuszczanie oszczędności — musi mieć w sejmie i senacie swoich przedstawicieli i stróżów (właściwie należałoby powiedzieć — dozorców). Wyobraźmy sobie, coby to było, gdyby ów nieszczęsny projekt przeszedł. Pomijając, że skarb zyskałby przeszło 3 miliony złotych rocznie — takie skąpstwo nie przystoi państwu socjalistyczno-demokratycznemu — większe niebezpieczeństwo wynikłoby ze skutków takiej redukcji. Na kolejach zmniejszyłaby się ilość bezpłatnych pasażerów, na ulicach ilość awanturników nietykalnych, w lokalach publicznych ilość wieców, uchwalających zniszczenie Polski, co osłabiłoby puls naszego życia politycznego i społecznego, ale ponad tem wszystkim górowałaby straszna katastrofa dopasowania sumy urzędników i wydatków do istotnych potrzeb i możliwości państwa. Strach pomyśleć, gdyby z administracji dróg żelaznych usunięto 30,000 zbytecznych pensjonarzów, gdyby ludziom pozwolono pracować tyle, ile im się podoba, gdyby zaprzestano wytaczać procesy robotnikom, gwałcącym pierwsze przykazanie katechizmu socjalistycznego o pracy poza 8 godzinami dla pomnożenia swych niedostatecznych dochodów, gdyby kupców i rzemieślników nie karano za przedłużenie otwarcia sklepów o kwadrans, gdyby wogóle z programu naszej polityki wewnętrznej wykreślono zasadę: niech żyje Polska dla partyjników i pasorzytów! Szkoda tylko, że ona pod tem godłem długo żyć nie może. No, ale dopóki istnieje, niech te swoje głodne dziateczki karmi.

Nazwano politykę sztuką kompromisów. Jest to reguła wszelkiego handlu. Nie możesz otrzymać tyle, ile żądasz, zgódź się na mniej. Zachodzi tu jednak kłopotliwa różnica: handel składa się z ogniw osobnych, a polityka jest łańcuchem szczepionych. Każdy w niej czyn nie zamyka swego znaczenia w granicach chwili, lecz sięga swym wpływem dalej, rodzi nieskończony szereg następstw, wywołuje skutki, które stają się przyczynami dalszych skutków. Obecnie odbywa się w gabinecie ministrów i siedzących w przyległym pokoju przedstawicieli stronnictw targ o redukcje osób i wydatków skarbu państwa. Podobno nastąpiło już „uzgodnienie” — kompromis, zalepiający dziś plastrum ranę, która jutro, za tydzień, za miesiąc otworzy się szerzej. Minister skarbu, walcząc o równowagę budżetu, stawia druzgocące dowody i przyczynia do nich „złote myśli“, godne uwagi rozumnych ludzi i rzetelnych patriotów, ale niegodne łaski dozorców żłobu partyjnego. Niedobór budżetu wynosi 200 milionów złotych. Przeciwnicy pokrycia go oszczędnościami mówią, że to niewielki dół, który można łatwo zasypać. Na to minister skarbu daje klasyczną odpowiedź, którą warto wypisać na tablicy wmurowanej w ścianę sejmu: „Dla spadającego w przepaść jest wszystko jedno, czy ona ma 700, czy 200 metrów głębokości“. Innemi słowy, — dla Polski jest wszystko jedno, czy ona spadnie w 700 czy w 200 milionową otchłań deficytu, bo w każdej się roztrzaska.

Przeciwko kompromisowi, to znaczy przeciw ustępowstwu, uległości, ofiarom na rzecz chwilowego spokoju, odraczaniu czynów, które spełnione być powinny, społeczeństwo podnosi coraz energiczniejsze protesty zarówno w polityce wewnętrznej, jak zewnętrznej. Świeżo wyszła niezmiernie ciekawa i oryginalna książka, wykazująca, ile ponieśliśmy strat i popełniliśmy błędów w stosunkach międzynarodowych przez kompromisy tam, gdzie one były dla nas szkodliwe i przez zwalczanie słabego oporu tam, gdzie nie powinniśmy go byli łamać. Ten podwójny nierozum stał się typową taktyką działań naszego rządu. Jego obecny naczelnik i mistrz w zginaniu się, ukłonach, rozdawaniu cukierków zagranicą a haszyszu w kraju, wstrzykuje kompromisowość w żyły innych członków rządu. Dzięki niemu mamy codziennie spokój i odroczenie rozstrzygnięcia ważnych sporów na 24 godziny. Co wieczór można mu powiedzieć słowami poety: „Dziś zwyciężyłeś Galilejczyku, lecz jutro, gdzie jutro świata?“

A chodzi głównie o to jutro, które wygląda coraz gorzej.

Zresztą nietylko u nas. Z wyjątkiem Włoch, które się uspokoiły, uporządkowały i weszły na drogę wspólnego rozwoju dzięki wielkiemu człowiekowi, który odrzucił kompromisy, cała prawie Europa, po której przeleciał wichur wojny, drga w konwulsjach. Nie może ona przyjąć do zdrowia i ustalić swego życia żadnym trwałym ładem, bo znajduje się ciągle w stanie walki. Po wojnie orężnej wybuchła społeczna, równie zaciepła i równie niszcząca. Taką samą rolę, jaką w pierwszej odegrały Niemcy, w drugiej odgrywa międzynarodowe mocarstwo komunistyczne wraz ze swoimi sprzymierzeńcami — socjalistami wszelkich obozów. Dopóki w każdym kraju armia broniąca kultury od barbarzyńskich napastników nie zwycięży pod dowództwem swojego Focha, dopóty ciągnąć się będą starcia. Nie zakończą ich żadne zawieszenia broni, żadne kompromisy. Kto się do nich ucieka, nie rozstrzyga wojny, tylko ją przedłuża. Kto zaś to rozumie, jest mądrym politykiem, kto nie rozumie — fuszerem politycznym, zarówno w stosunkach wewnętrznych, jak zewnętrznych. Trzeba to sobie jasno uprzytomnić i tego konsekwentnie się trzymać, że Polska niepodległa może istnieć i nie przejść w ponowną niewolę

tylko wtedy, jeżeli uzna, że ma sąsiadów, którzy są i pozostaną nieprzejednanymi jej wrogami, że żadne z nimi kompromisy nie zapewniają jej najmniejszego bezpieczeństwa i jedynie usypiają naszą czujność, że świadomymi lub nieświadomymi sojusznikami tych wrogów są żywioły rozkładowe, marksieści wszelkich gatunków, z którymi również wszelkie umowy, kontrakty, „likwidacje incydentów” i „uzgodnienia” poglądów są bez wartości. Trzeba albo się poddać, albo zwyciężyć; trzeba albo wyteńczyć wszystkie siły do ubezpieczenia Polski jako państwa niepodległego, albo ją oddać lub rozdać dobrowolnie tym, przeciw którym obronić się nie można. A naszym naiwnym politykom się zdaje, że gdy ulepili jakąś zgódkę na konferencji wyjazdowej z przedstawicielami wrogów zewnętrznych lub z przedstawicielami wewnętrznych w gabinecie marszałka Sejmu, dokonali czegoś wielkiego i trwałego. Biedni, a co gorsza, my przez nich biedniejsi.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

G Ł O S Y

„ZWYCIĘSTWA, JAKICH PRADZIADOWIE NIE ZNALI”

PRZYKŁADY:

„Zaczawszy wojnę w położeniu, w stosunku do nieprzyjaciela nader wygodnym, mając przewagę czasu i położenia — Wódz naczelny dobrowolnie wyzbył się obu tych czynników na rzecz zamierzeń politycznych.”

„Z chwilą rozpoznania i uznania istotnego niebezpieczeństwa na północy (konferencja z gen. Szeptyckim 11-go maja) zamiast nakazać tam natychmiastową koncentrację odwodów — poprzestaje na zarządzeniu dywersji.”

„W dalszym ciągu traci czas i zużywa trzy dywizje dyspozycyjne, zwlekając z decyzją nawet po ukazaniu się natarcia nieprzyjaciela i zadaniu przezeń poważnych strat I armji.”

„Osłabiwszy na rzecz działań na północy armje, będące na Ukrainie, zostawił je rozwleczone w przestrzeni i związane z nią. Zniesieniem 2-ej armji zdeorganizował i tak już słaby system obrony.”

„Straciwszy co najmniej dwa tygodnie czasu (od 7.V. zajęcie Kijowa do 23.V.) zwlekając z decyzją działań na północy, dwukrotnie pozwala nieprzyjacielowi na swobodne przejawienie inicjatywy zaczepnej (natarcie Tuha-czewskiego, natarcie na Ukrainie).”

„Wskutek złej oceny położenia przerywa bitwę na północy, wyciągając stąd siły dla naprawienia położenia na Ukrainie. Wskutek tego ostatecznie traci swobodę działania na obu teatrach wojennych.”

„Nie wyznaczając ani w sensie strategicznym, ani operacyjnym działania głównego, do którego skupiłby *gros* sił, nie zmienia złego rozkładu wojsk i nie przeprowadza nigdzie bitwy o odzyskanie strategicznej swobody działania. W rezultacie daje się zepchnąć na linję Bugu z groźbą osaczenia armji frontu północnego.”

I t. d., i t. d. Jeśli od strategii przejść do operacji (taktyki), to znów:

„Rozciągnięcie sił w przestrzeni; brak odwrotu; manewr ekscentryczny, odprowadzający siły od bitwy. W położeniu obronnym te same zjawiska rozproszenia sił przy braku manewru. Brak manewru odwrotnego dla rekoncentracji... Stały brak przewidywania i budowania koncepcji na sądach aprioristycznych.”

Oto suche wnioski końcowe źródłowego wykładu Karola Pomorskiego w książce „Józef Piłsudski, jako wódz i dziejopis” (Warszawa, 1926, str. 111).

W cytacie brzmią jak frazesy, niestety jednak we wnioskach tych kryje się bolesna prawda dziejowa, którą laik pojmie w całości dopiero po przeczytaniu książki.

Mimochodem stawia autor ciekawą i prawdopodobną hipotezę psychologiczną. Były Wódz Naczelny ugiął się przed wolą przeciwnika, stracił wiarę we własne siły, zwątpił o możliwości odniesienia zwycięstwa. Stan wewnętrzny załamania się*) trwał długo, bo niemal cały czas odwrotu 1920 r. Stan ten wyraził się w przygnębieniu i bierności, z których wyrwała Wódza Naczelnego energia i wola gen. Rozwadowskiego. „Było to — mówi Pomorski — załamanie się Wodza, jako nieuniknione następstwo załamania się jego planu i trzykrotnego zaskoczenia go przez wypadki wojenne. Wspomnienie tych przeżyć i stanów moralnych musi być dla ambicji marszałka Piłsudskiego dotkliwie; psycholog, który kiedyś zajmie się analizą tej skomplikowanej duszy, znajdzie w tem niewątpliwie wyjaśnienie obecnej nienawiści b. W. Naczelnego do tych czasów i ludzi, którzy go w stanie depresji oglądali”.

Istotnie, słowa lekceważenia dla społeczeństwa „bił się, kto chciał, lub kto był głupi”, obelgi rzucane na wybitnych generałów, wreszcie zaatakowanie archiwów wojennych i zarzucenie fałszowania ich, by tem poderwać w łatwowiej opinii autorytet i wagę dowodową dokumentów oficjalnych — wydają się tę hipotezę potwierdzać.

Do tego stanu psychologicznego przylączyła się paniczny lęk przed ujawnieniem prawdy, bo „nie wystarcza mu aureola pierwszego Naczelnika Państwa, organizatora i twórcy wojska, wreszcie wodza, który zwycięsko zakończył wojnę. Chce wobec narodu uchodzić za jakiegoś półboga, zawsze nieomylnego, silnego niezłomną wolą, obdarzonego genjuszem wojennym”.

Wynikające z tych pobudek niepoczytalne działanie pokrywa się w zadziwiający sposób z fordowską djagnozą „złej konkurencji”. Posłuchajmy Forda: „Niszczycielska konkurencja nie ma tych zalet, z których wyłania się postęp, będący następstwem rycerskiego współubiegania się. Zła konkurencja jest osobistą, pracuje nad rozrostem pewnych jednostek lub grup, jest rodzajem wojny. Jej natchnieniem jest chęć „przytąpania” kogoś, jej sprężyną samolubstwo. To znaczy, że jej pobudką nie jest ani duma z wytworu, ani chęć doskonałości w służbie, ani nawet zdrowa ambicja zbliżenia się do naukowych sposobów wytwórczości. Kierują nią jedynie żądza utracenia innych i zmonopolizowania rynku...”

Podkreślenie uczynione zostało z rozmysłem, ponieważ niedawno pewien dziennik, mający rzekomo służyć wojskowości, stwierdził z powodu ukazania się książki Pomorskiego, że „źle jest, jeśli o losach bitwy ma rozstrzygać uczony...” wyznaczając mu w czasie bitwy miejsce za frontem, wraz z osłami, wedle znanego powiedzenia Napoleona z pod piramid.

Prawdziwa to zasługa p. Karola Pomorskiego (pomińmy oczywiście zupełnie naturalny efekt jego „uczoności” wśród „piramidalnych osłów”), że ukazał część prawdy historycznej (reszta jej jeszcze kryje się w archiwach), która powinna uchronić nas w przyszłości od powierzania kierownictwa armji w ręce... wodzów niedouczonej.

P. S.

*) Np. słowa do gen. Szeptyckiego: „Niech pan będzie przygotowany na mój telegram przybyć do Warszawy, aby objąć Naczelne dowództwo”.

DAWNIEJ A DZISIAJ

NARODY trwające wiekami zawdzięczają swój byt i odrębność zachowaniu religii przodków, języka ojczystego oraz tradycji i zwyczajów. Żydzi w tym względzie są klasycznym przykładem.

To też patriotom polskim serca się krwawia, że u nas nikną potrochu staropolskie zwyczaje i że kosmopolityzm coraz bardziej przesiąka do ludu. Dawne np. „wy“, zachowane od tysiąca lat na rubieżach polskich, znika w centrach kraju, a niedorostki już się mienia między sobą panami. Gdzie się podziały wiejskie, nieraz malownicze stroje i sukmany? Wiekowy, wzniosły zwyczaj witania po drodze słowami „Niech będzie pochwalony“ — niedługo stanie się legendą. Na kontusze, czamary, żupany, na burki z wylotami patrzymy, jak na dziwowisko. Nie tylko „kuligi“, „wesela krakowskie“, jako zabawy znikły zupełnie, ale nasza młodzież patrzy na dziarskiego mazura i na oberka, jak na tańce teatralne.

Nawet zaborcy przez wiek cały musieli szanować nasz obyczaj. Pierwszy dzień Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy był w Polsce wyjątkowo świąteczny, co budziło podziw cudzoziemców. W te dni w Warszawie nastawała cisza nie zamącona, nawet rosyjskie „pierelotki“ i „trojki“ dyskretnie znikwały. Ta cisza kołysała myśl patriotów, że mimo wszystko Polacy są w te dni panami na swojej ziemi.

Jakże przykrego wrażenia doznawali w tym roku wychodzący ze świątyń w pierwszym dniu Wielkiejnocy na widok łataniny samochodów, ogłuszeni hukiem i rycentem maszyn! A więc zwyczaj, szanowany nawet przez obcych, my sami niszczymy! Nie zwalajmy tego na karb t. zw. „mniejszości“. Przypatrywałem się niedzielnym harcom automobilowym i stwierdziłem, że brały w nich udział polskie twarze, wiele widziałem starszej generacji, która źle wychowuje dzieci, jeśli nie budzi w nich poszanowania dla tradycji.

Wraz z powrotem niepodległości zawisło nad nami fatum, czy też obca ręka, która prowadzi do zagłady staropolskich zwyczajów. Jeżeli się nie ockniemy i pozwolimy dalej niszczyć obyczaj narodowy, powoli zniknie polska wigilia z opłatkiem, święcone, a zato będziemy tańczyć w adwencie i w wielkim poście (jak to zresztą robimy już na dancie). Prz. red.); wianki na Ś-ty Jan i inne zwyczaje doroczne staną się mitem. W ten sposób, zamiast się uwydatniać na tej rubież zachodu i wschodu, zacierać będziemy dobrowolnie tak odrębne cechy własnej cywilizacji i uczynimy z Polski międzynarodowe państwo zreszczeniem, a piękną, starą Warszawę zamienimy w śmietnik kosmopolityczny.

ANTONI ŻWAN

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Troski armji. — Odpowiedzialność jen. Żeligowskiego. — Manifestacje komunistyczne. — Stosunki polsko-czeskie. — P. Paul Boncour.

WEPOCE Locarna i Genewy, „dowodów dobrej woli“ i „ducha porozumienia“, w epoce, gdy w sposób coraz jawniejszy nie pokój dla Polski, ale pokój kosztem Polski jest przygotowywany, myśl ogółu z większą, niż kiedykolwiek, troską zwracać się musi ku pierwszej i ostatecznej gwarancji bezpieczeństwa i nienaruszalności Rzeczypospolitej, to jest ku armji. Śmiało też można rzec, iż niema Polaka, co z lekkim sercem mógł być czytać tak bolesny, a tak znamienity jednocześnie dla panujących dziś w armji stosunków dokument, jakim jest ogłoszony w gazetach list generała broni Stanisława Szepetyckiego, zawierający prośbę o udzielenie mu „dymisji

z czynnej służby w wojsku polskim“. Fakt, iż jeden z najbardziej zasłużonych w Polsce generałów, zwycięski wódz wielu bitew, uczuł się zmuszony zdjąć mundur, „którego pierwszy marszałek Polski nie potrafi uszanować“, poniżając go „przez ciskanie kalumnji na łamach prasy“, musiał wreszcie wywołać w opinii publicznej wstrząs, który nie pozostanie bez następstw, ale doprowadzić powinien do wyjaśnienia i gruntownej naprawy położenia, nad wszelki wyraz nienormalnego i niebezpiecznego. Odpowiedzialność zaś za obecny stan rzeczy spada przede wszystkim na ministra spraw wojskowych jen. Żeligowskiego, który (cokolwiekby się o jego osobistej poczciwości sądziło) polityką swoją bynajmniej do poprawy stosunków w wojsku się nie przyczynił. Nic dziwnego, że w prasie pojawiają się coraz ostrzejsze głosy krytyki, a senatorowie z klubów Zw. Lud. Nar., Chrz. Dem., Chrz. Nar. i P. S. L. „Piasta“ zgłosili interpelację, zapytując rząd, co zamierza uczynić, aby „uchronić godność oficera polskiego, oraz jego honor osobisty przed dalszym ich poniewieraniem“. Słusznie także zaznaczył w wywiadzie, ogłoszonym w krakowskim „Głosie Narodu“, prezes klubu Chrz. Dem. pos. Chaciński, że „stanowisko ministra spraw wojskowych musi zajmować człowiek, który będzie sprawował władzę nie tylko formalnie, ale i faktycznie i który nie ograniczy się jedynie do roli oficera do szczególnych poruczeń“.

Niepokój i troskę budzą również powtarzające się krwawe manifestacje komunistyczne, ostatnio w Stryju i w Lublinie. Tylko bezwzględna stanowczość władz, oparta o planową, konsekwentną politykę rządu może udaremnić szerszą się wrogą państwu agitację. A ta stanowczość wciąż jeszcze nie jest okazywana w sposób dostateczny.

Po niedawnym odnowieniu przymierza polsko-ruuuńskiego przychodzi czas na dalsze wzmacnianie więzów przyjaźni i współpracy między Polską a Czechosłowacją. Chwilowy zatarg, wywołany rozporządzeniem czeskiego ministerstwa aprowizacji, zakazującym przywozu i przewozu bydła z Polski, załatwiony został drogą wzajemnego porozumienia, wizyta zaś, jaką w najbliższej przyszłości złożyć ma w Pradze premier Skrzyński, przyczyni się niewątpliwie do utrwalenia i rozszerzenia podstaw politycznego i gospodarczego współdziałania, które winno być stałą, niezmienną wytyczną polityki obu narodów.

Manifestacją przyjaźni polsko-francuskiej jest przyjazd do Polski p. Paul Boncour, wpływowego polityka, zastępcy Brianda podczas ostatniego Zgromadzenia Ligi Narodów. Na dzień 11 b. m. zapowiedział p. Boncour wygłoszenie w Warszawie odczytu na temat znaczenia udziału Polski w Lidze.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

NOWY RODZAJ LITERACKI

NIEJEDEN czytelnik sądzi, że ma do czynienia z traktatem politycznym, a już co najmniej przewodnikiem po partjach, gdy po raz pierwszy bierze do ręki wydaną niedawno publikację p. Alicji Bełcikowskiej, opatrzoną zwodniczym tytułem „Stronnictwa i związki polityczne w Polsce.“ Dopiero zapoznanie się z treścią odsłania istotny charakter książki. Paradoksalne rozmiary tomu, liczącego stron 1086, potęgają jeszcze niesamowity efekt tej groteski.

Nie wdając się w czcze spory o to, czy utwór nie jest raczej antologią humorystyczną, stwierdzić należy, iż, sądząc z głosów prasy, rzecz zapełnia dotkliwie odczuwaną

lukę w naszym piśmiennictwie. Ani Boy z naszych pisarzy, ani z obcych Jerome-Jerome czy Mark Twain nie doczekali się tak rychłego i gorącego uznania, nie wywołali obaw tak chorobliwego entuzjazmu. Któż pismo pozwoliłoby sobie kiedy zalecać „Brewerje”, „Trzech panów w łódce oprócz psa” albo „Białego stonia” — jako niezbędne podręczniki dla „wszystkich polityków, dziennikarzy i urzędników”? — a jednak tak właśnie rekomenduje i zachwala „Robotnik”, antologię p. Bełcikowskiej, bądź co bądź niżej stojącą zarówno pod względem dydaktycznym, jak literackim od wymienionych poprzednio utworów.

Zgóry uprzedzić trzeba, że to efektowne dzieło nie wzbogaca dorobku literatury polskiej, lecz należy do suto wyposażonych w cechy rasowe okazów piśmiennictwa żydowskiego. Ustalenie przynależności rasowej tłumaczy nam, przynajmniej częściowo, eklektyczny charakter utworu pani Bełcikowskiej (p. Lebensbaumówny). Czy np. w upodobaniu do anachronizmów, w nieliczeniu się z danymi realnymi nie idzie autorka za mistrzem wszech czasów, Szekspirem? Ta metoda pozwoliła jej np. na zupełnie fałszywe przedstawienie stosunków wśród młodzieży akademickiej i wywołanie wrażenia, że większość jej grupuje się pod sztandarem lewicowym. Czy nie ołśniewa Wilde'owskimi iście paradoksami? czy nie Stańczykom jedynie ze wszystkich stronictw pravicowych przyznać może „powagę, głęboki patryjotyzm i zrozumienie konieczności państwowych”? A jeśli chodzi o zdefiniowanie ostateczne rodzaju literackiego, jakże znamienne, pełna treści, rzeczowa jest choćby taka charakterystyka grupy nieznanej i może nie istniejącej:

„Akademicki Związek Postępowo-Narodowy głosi hasła: harmonijnego rozwoju wszystkich warstw, oparcia życia społecznego na zasadach istotnej sprawiedliwości i demokracji i doskonalenia się pod każdym względem drogą ewolucyjnego postępu.

Blższych informacji o A. Z. P. N. na razie nie posiadamy”.

Gdy rodzaj literacki *humbugu* rozwinie się i wyodrębni, przewodnik p. Bełcikowskiej będzie w tym rodzaju utworem klasycznym.

W. J. C.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Pan L. H. Morstin wydał książkę „W kraju Latynów”. Pan Ludomir Komierowski (z Rzymu) zamieścił w „Głosie Narodu” (nr. 22—25 r. b.) artykuł, w którym wykazał, że p. Morstin nie jest oryginalny, że nie ma kultury literackiej, że dzieło jego pachnie plagiatem. Na to autor książki reagował w „Czasie” (z 15 lutego r. b.), w którym właśnie prof. Sinko wysoko był podniósł wartość naukową jego książki. P. Morstin zarzucił p. Komierowskiemu, że fejtłony jego były pełne tendencyjnych i fałszywych cytat, że pisanie było ze złą wolą, bez znajomości rzeczy i metody. Na to p. Komierowski w „Głosie Narodu” (nr. 75—77) dał surową odpowiedź, w której zajął się moralną stroną p. Morstina. Piętnuje go jako oszczercę, kłamcę, oszusta, plagiatora i licznymi faktami i cytatai twierdzenie to uzasadnia. P. Komierowski wyzywa p. Morstina, aby wezwał go przed sąd korporacyjny, jeśli chce nadal zaliczać się do kół literackich. P. Morstin zasłonił się powagą prof. Sinki i Wieniewskiego i tu właściwie tkwi moment sensacji. P. Komierowski kończy słowami: „Teraz kolej na mentora, który pierwszy wystąpił nie tylko z pochwałą skandalicznej książki p. Morstina, ale—na ochotnika—z jej obroną. Panie profesorze Sinko *à tantôt!*”

*

„Gody życia” Adolfa Dygasińskiego ukazały się w trzecim wydaniu. Dokonał tego wydania zięć znakomitego pisarza, p. Władysław Wolert, z pietyzmem, godnym tego pięknego dzieła (Warsz. 1925, E. Wende i sp. Str. 181). Tekst ustalił według odnalezionego rękopisu i pierwodruku (w „Kur. Warsz.” 1901 r.). W przypiskach wskazał dokonane w porównaniu z pierwszym wydaniem (1902) zmiany, dodał wyjaśnienie poglądów autora panteistycznych i mitologicznych, na których opowieść „Gody życia” osnuta, wreszcie słowniczek wyrazów starych lub ludowych. Szkoda, że wydawcy poskąpili dobrego papieru. Należałoby się i z ich strony też pewien pietyzm dla tej miary dzieła. Z przypisów dowiadujemy się, że „Gody życia” przełożono już na języki czeski i niemiecki, obecnie wyjść mają po włosku. Wydany teraz utwór zamyka twór-

czość Dygasińskiego. Jest pożegnalną jego pieśnią na cześć życia, najpiękniejszym dziełem tego niepospolitego myśliciela i artysty.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Tow. Miłośników historii w Warszawie (Rynek Starego Miasta 31) wydało jubileuszowy rocznik „Przeglądu Historycznego”. Jest to ogólnego zbioru tom 25. Okazały tom zawiera str. 413 tekstu i 56 indeksu tomów 1—25. Zredagowali ten rocznik prof. M. Handelsman i St. Kętrzyński przy udziale Komitetu, do którego należą W. Kamieniecki, J. K. Kochanowski, Al. Kraushar, W. Łopaciński, Fr. Pułaski i Wł. Smoleński. Indeks ułożyła Irena Posseltówna. Dzieło wyszło przy pomocy Związku Wydawnictwa nauki i bibliotek min. oświaty. Jest ono dziełem historyków warszawskich, którzy je poświęcili pierwszemu redaktorowi „Przeglądu” J. K. Kochanowskiemu. Rozprawy w 25 tomie „Przeglądu” wyłącznie dotyczą średniowiecza. Wydanie, na welinie, okazałe.

*

Zarząd Polskiego Banku Komunalnego w Warszawie ogłosił konkurs na dwie prace z dziedziny samorządu: 1) „Polityka gospodarcza miast polskich w dziedzinie aprowizacji i obniżenia cen” 2) „Monografia Powiatu Samorządowego z lat 1919—1926”. Blższych informacji udziela Biuro Zjazdów Samorządu Ziemińskiego w Warszawie, ul. Kopernika 30, dokąd również nadsyłać należy prace konkursowe. Nagrody: po 1.000 zł. dla każdego tematu za pracę najlepszą. Termin nadsyłania prac do 1-go grudnia 1926 r. Skład Sądu Konkursowego: pp. Juliusz Zdanowski, Dr. M. Jaroszyński, inż. Piotr Drzewiecki, Marcei Porowski i Józef Bek.

U SŁOWIAN

Interesującą treść zawiera drugi numer miesięcznika paryskiego „Le Monde Slave” (R. III. № 2, luty 1926). Jest tam artykuł „Grażdanina” p. t. Przed konferencją francusko-rosyjską, dalej pisze znakomity polityk rumuński prof. Nicolai Jorga o „Konfliktach bałkańskich”, które rozpatruje zarówno z punktu widzenia historycznego jak i psychologii ludów bałkańskich, następnie jest piękna mowa rektorska Miłosza Weingarta (Bratislava, wygł. 21 listopada 1925) p. t. „Przeszłość i stan teraźniejszy solidarności słowiańskiej”, studjum doskonałego znawcy połudn. Słowiańszczyzny R. W. Seton-Watsona p. t. Stosunki Austro-Węgier z Serbią w latach 1868—1874 (czasy małoletności króla Milana Obrenowicia), pułk. L. Lamouche pisze na temat: Bułgaria a porozumienie demokratyczne, wreszcie redaktor „Le Monde Slave” prof. uniwersyteckiego Louis Eisenmann zajmuje się „Prawami mniejszości w Europie środkowej”. Ponadto interesujący dział dokumentów: Kryzys polityczny w Bułgarii i ministerjum Lapczewa—XIV kongres ros. partii komunistycznej. — Raporty ambasady austr. w Piotrogradzie o spisku dekabrystów.

*

Wychodzący w Pradze dziennik „28 Rijen”, organ kół legjonistów czeskosłowackich, dawniej niezbyt przychylnie usposobiony do Polaków, ostatnio zamieścił cały szkie konstytucji federacji Polski z Czechosłowacją. Po zaznaczeniu, że wobec wspólnego niebezpieczeństwa niemieckiego należy starać się, by Odra stała się polsko-czeską rzeką graniczną, podaje autor swój projekt: zupełna autonomia i równouprawnienie obu narodów, głowa państwa i ministrowie spr. zagr. i wojny byłiby wspólni, wspólna zupełnie polityka zagraniczna i celna.

*

Przyjaciele Polski w Zagrzebiu, skupiający się w „Polskiem Kole” (sekcji T-wa Literatów Chorwackich) — należy tu wymienić prof. Benesica, red. Bucara i nader czynnego d-ra Esiha — postarali się ostatnio o wydanie w dniu 14 marca „polskiego numeru” najpopularniejszego dziennika chorwackiego „Obzor” (№ 72). Numer ten, ozdobiony portretami prez. Wojciechowskiego, Paderewskiego, min. Skrzynskiego, posła w Belgradzie Okeńskiego, konsula w Zagrzebiu Himelstjerna i wicekonsula Maywarta, oraz widokami Warszawy, Krakowa, Poznania, Wilna etc. zawiera na 18 stronicach treść następującą: artykuły polityczne: Polska a Jugosławia (Dr. M. Maywalt), Wskrzeszenie Polski (Prof. R. Dyboski), Skład sejmu polskiego, Konstytucja polska (Z. Cybichowski), Podział administracyjny Polski (T. Hilarowicz), Statystyka; z dziedziny kultury: Wystawa polska w Paryżu (Z. Franges), Polskie sztuki plastyczne (M. Treter), Szkolnictwo (J. Cynarski), „Eros i Psyche” Różyckiego, Muzyka polska (K. Stromenger), Autokefalia cerkwi prawosł. w Polsce (protopr. Teodorowicz), Teatr w Polsce (Zawistowski), Liga polsko - jugosłowiańska we Lwowie (H. Batowski), List z Częstochowy (J. Benesic); z dziedziny ekonom.: Gospodarcze znaczenie Polski (Dr. Brzeski), Stosunki polsko-jugosł. (M. Popic), Stosunki gospodarcze Polski z zagranicą (M. Turki). Wydanie tego pięknego „polskiego numeru” jest dowodem serdecznych uczuć, jakie żywią ku nam za-

grzebscy polonofile, którzy niedawno n. p. urządzili wspaniałą akademię ku czci Żeromskiego i Reymonta.

Chorwacki dwutygodnik literacki *Vijenac* (Wieniec) Zagrzeb, w swym podwójnym (4—5) numerze lutowym przynosi przekład noweli Żeromskiego „Tabu”, z dużym artystycznym i językowym odczuciem dokonany przez p. Franjo Coneka, lektora języka serbsko-chorwackiego na Uniwersytecie lwowskim. P. Conek napisał też dla tego numeru *Vijenca* charakterystykę twórczości Żeromskiego.

Chorwackie czasopismo polityczne „*Nova Evropa*”, które zazwyczaj poświęca cały numer jednemu tylko zagadnieniu, wydało znów zeszyt 5 „albański”. Jedyne dwa pierwsze artykuły poświęcone są zmarłemu niedawno wybitnemu politykowi chorwackiemu Ivanowi Soikovicowi. Potem pisze B. Lazarevic o „Stworzeniu państwa albańskiego”. B. Serko przedstawia „Stosunki kulturalne w Albanii i zadania jej inteligencji”, następnie jest jeszcze studjum K. Cerkezi'ego „Rozwój nacjonalizmu albańskiego”, H. Barica: „Kto są Albańczycy?” i E. Deri'ego: „Czy międzynarodowy faszyzm?”.

W uniwersytetach Czechosłowacji ogłoszono na semestr letni szereg wykładów z polonistyki: Uniw. praski: prof. Bidlo: Historia Polski i Litwy od Unii lubelskiej, prof. Szykowski: Krasiński, Dramat Wyspiańskiego, Lektura i interpretacja dramaturgii Słowackiego, lektor Zelenka: kurs jęz. polskiego. Uniw. niemiecki w Pradze: prof. Spina: Lektura tekstów staropolskich. Uniw. w Bernie: prof. Kolaja: kurs jęz. polskiego. Uniwersytety w Królestwie SHS mają polonistycznych wykładów mniej. Belgrad ma tylko jeden wykład: prof. Pogodin: Dzieje liter. polskiej. W Zagrzebiu: prof. Hleste: wykład: Liter. polska w I poł. XIV w. i Lektura poetów polskich, ponadto: kurs jęz. polskiego prof. Benesica. Słowieński uniwersytet: prof. Prijetelja p. t. Przegląd nowszej literatury polskiej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W roku bieżącym upływa 700 lat od śmierci świętobliwego włoskiego Giovani Bernardone, zmarłego w Assisi (Assyżu) 1226, a kanonizowanego pod imieniem Świętego Franciszka. Pisma jego, promieniujące poetyckim poczuciem stosunku jednostki do świata i Boga, otoczyły Jego postać szczególnym urokiem w literaturze świata cywilizowanego. Dla zaznaczenia tej rocznicy zamieszczamy dzisiaj wraz z wierszem G. T. Hennera krótką rozprawkę słynnego filozofa religii Jana Papiniego, napisaną wyłącznie do przekładu polskiego dla „Myśli Narodowej”.

Jednym z największych pisarzy Szwajcarii francuskiej jest C. F. Ramuz, autor „*Le règne de l'esprit malin*”, „*Jean Lu persécuté*”, „*Les signes parmi nous*” etc. Autor urodzony w *canton de Vaud*, zachował ludowy, góralski sposób wyrażania się, gwarę, nadającą dziełu jego szczególniejszy urok. Twórczość Ramuz'a, którą cechuje mistycyzm chłopski, stanowi zwartą całość, o realistycznej podstawie, ale wybitnie idealistycznej koncepcji. Styl C. F. Ramuz'a bardzo indywidualny, można poniekąd porównać ze stylem Charles Louis Philippe i po części z Péguy. Ostatni „*Cahier de la Quinzaine*”, który ma wydać p. Marcel Péguy, jest właśnie poświęcony wielkiemu pisarzowi szwajcarskiemu i nosić będzie tytuł „*Pour ou contre C. F. Ramuz*”. W zbiorze tym o twórczości poety Alp wypowie się cały szereg znanych autorów francuskich, między innymi Paul Claudel i Jean Cocteau.

„*Sous le Soleil du Satan*” (Plon Edit.) pierwsza książka p. Georges Bernanos, jest prawdziwą rewelacją oryginalnego bardzo talentu, jest szukającego łatwych efektów. Jest to tragedia świętego, który innym niesie pokój, przez niego samego pożądaną, obraz dumy, skazanej na odwieczną samotność. Autor opierając się na silnej podstawie katolicyzmu, usiłuje przedstawić grzechu, któremu ulega człowiek, dając posłuch podszeptom szatana.

Elissa Rhais, autorka „*Saâda la Marocaine*” i „*La Fille des Pachas*”, ogłasza u Plon'a nową książkę p. t. „*Le Mariage de Hanifa*”, poświęconą obrazom życia arabskiego. Autorka maluje wpływ cywilizacji francuskiej na Arabów, dając barwny obraz dwóch zwalczających się prądów: tradycji i modernizmu. P. Elissa Rhais bawi obecnie w Maroku, gdzie przygotowuje nową powieść. Dodajmy,

że do Maroka ma się również udać Colette, aby zaczerpnąć tam także natchnienia dla dalszej twórczości.

Na kilka lat przed wojną, ukazała się pierwsza powieść Marguerite Audoux p. t. „*Marie-Claire*”, która wywołała duże zainteresowanie i poruszenie w świecie literackim. Była to bowiem książka kobiety, która literatury nie znała i nic z nią nie miała wspólnego, będąc z zawodu... szwaczka. „*Marie-Claire*”, napisana z prawdziwym odczuciem psychologicznym, zainteresowała Mirbeau, który zareklamował ją wobec publiczności francuskiej. Marguerite Audoux publikuje obecnie nową książkę „*De la ville au moulin*” (Fasquelle), będącą poniekąd wyrazem wdzięczności dla autora „*Journal d'une femme de Chambre*”.

Jean Dufourt w książce „*Calixte ou l'introduction à la vie lyonnaise*” kreśli surowy obraz burżuazji lyońskiej, jej ciasnoty umysłu, dumy oraz pozorów dobroczynności i surowości obyczajów. Poprzez obrazy lyońskie, przesuwają się sylwetki Paryżanina, który w mieście jedwabników chce zapoznać się z jego przemysłem i dojść do wysokiego stanowiska.

Dotąd wyszły, w tłumaczeniu p. Schoell'a, dwa tomy francuskiego przekładu „Chłopów” Reymonta, a mianowicie „Jesień” i „Zima”. Obecnie ukazuje się u Payot'a tom trzeci „Wiosna”.

AD REM...

MISTYKA CZYNU

Wszystko, co nasze jest — Ojczyzna jest; wszystko, co naszej Ojczyzny jest — Wolińskich Ludów jest.

Adam Mickiewicz

REALNE zdobycze faszyzmu w wewnętrznym życiu Włoch i w polityce międzynarodowej nie ulegają dziś żadnej wątpliwości. Zawiodły złowróżbne przepowiednie, iż ruch faszystowski będzie krótkotrwałą efemerydą, że jego pęd bohaterski w dłuższym zetknięciu z rzeczywistością skarleje do jej przyziemnych rozmiarów, albo — jeśli odrzuci hańbę kompromisów — to czeka go nieodzowne pobjawisko nowego Waterloo, na którym legnie z bohaterko-fanatycznym wyzyskiem Cambonne'a, jako ostatnim protestem, na ustach.

Szacherka materialistyczna, uchodząca zbyt długo za rozum, zgóry skazywała na przegraną tych, co porwali się do walki z takim olbrzymem, jak małość ludzka. W prostactwie swego bezducha za utopistów stracenięcych uznawano faszystów nawet w chwili ich oficjalnego zwycięstwa, dnia 28 października 1922 r. Bo jakże było wierzyć w poważną postawę życiową ruchu, głoszącego, iż: — „stary świat upadł, zmarł sztuczny świat małych ludzi i mizernych sumień, świat, który przeżywał po cherlacku od etapu do etapu swoją swoją mizerną historię. Natomiast urodził się świat nowy z przelanej krwi bohaterów. Świat ten dźwignął z ziemi wszystkie symbole i wszystkie najwznioślejsze idee, wszystkie namiętności heroiczne najśmielszych czynów... Świat silnych, młodych i czystych”.

Zdeprawowany spryt tandeciarzy politycznych zdrzął na widok zwycięskiego pochodu faszystowskiego, w którym szedł ramię przy ramieniu ex-anarchista z kapłanem katolickim, uzdrowiony komunard z „ojczyźniakiem”, syndykalista z oficerem. Na pocieszenie drwiono w ślimacznym skorupach, że marszowy krok nowej armii społecznej, to obłąkańczy tupot szaleńców marzycieli, a nie stąpanie nowych legionów rzymskich, śpieszących na odsiecz wiecznemu miastu i światu...

Tamci jednakże szli naprzód, a stare „ulice septizonium”, wydeptane niegdyś przez kohorty światowładczyców, poznały, że to „wracają legjony z długiej, ciężkiej wojny”, aby zapewnić ojczyźnie i ludom cześć dla prawa i nieść

obronę cywilizacji, zagrożonej przez monstrualnie rozroście i wiecznie wygłodniałe demagogiczne „pluskwy—wampiry”.

Faszyści i ich przywódca „o rysach kodotjera, a wzroku świętego” dlatego zdolali budować gmach wielki i mocny, iż dali mu odpowiednią podwalinę etyczną, oświadczając, że „Faszyzm to nie stronnictwo, to rycerstwo, to droga Krzyżowa, męczeństwo, religia”.

Śmiało, z otwartym czołem, zawarł faszyzm przymierze z przyrodzonym sojusznikiem duchowym, — katolicyzmem. „Kochamy katolicyzm, — powiedziano oficjalnie, — dlatego także, że jest przeciwny zdegenerowanemu modernizmowi”. A dalej mówi Italo Balbi: „Chrześcijańska tajemnica odrodzenia duchowego, łaski heroicznej, wskrzeszającej ku dobru wolę ludzką, która obumierała w zaduchu bezduszości, — chrześcijańska tajemnica uzdrowienia moralnego, wyzwolenia i bohaterskie dziewictwo duchowe, — znalazły w Mussolinim wyraz tak potężny, że aż bezprzykładny w pokoleniach ostatnich. Walcząc z nami o nas samych, biorąc sprawiedliwy odwet za narodową tradycję, zapomnianą i zdradzoną przez nas, doznał on w zbawczym cierpieniu arcychrześcijańskiego wpływu powtórnych narodzin z ducha”.

„Karność i mistycyzm”, — dodaje Cezare de Vecchi, oto dwie dźwignie faszyzmu, który jest przedewszystkiem prądem etycznym. W imię tych zasad zorganizowano narodową milicję faszystowską, a pierwszy paragraf jej regulaminu głosi: „Stronnictwo faszystowskie pozostawiać ma zawsze strażą Boga i Ojczyzny”. Dla faszysty „Honor winien być jak dla dawnego rycerstwa, prawem, wyższem nad każde prawo spisane i formalne”.

Realizm rzeczy nierealnych, a raczej za takowe celowo przedstawianych, święci w faszyźmie zwycięstwo zupełne i rzeczywiste na wszystkich polach. Mussoliniego zadowolają Italii niemal wszystkie państwa... Lecz zamiast tęsknić do wielkiego człowieka, związanego nierozdzielnie ze swoją ojczyzną, trzeba raczej wziąć z niego wartości ogólnoludzkie i wcielić w zbiorowe ciało każdego innego narodu. Wskazania są jasne: „Działaczem nieczystym jest ten, kto wszystkimi środkami z odsłoniętą twarzą, nie zwalczając wewnątrznych Italii i ten, kto z pobudek fałszywego sentymentalizmu ludzkiego nie umie w walce z nimi dać życia za życie”.

Faszyzm zwalcza zwyrodniałą formę tak zwanych „zdobyczy Wielkiej Rewolucji” francuskiej, a jednak jako najczęstszy zarzut wytykają mu przeciwnie, iż właśnie jej metody stosuje. Krótki rzut oka w dzieje wystarczy, aby zaznaczyć pozorne podobieństwa przy zasadniczych różnicach.

Co do energii działania faszyści istotnie przypominają dawnych rewolucjonistów i to w fazie władzy Jakobinizmu. Posępny terror schyłku Rewolucji miał także swój mistycyzm. Dzięki niemu niespełna 5000 zdecydowanych i względnie czystych fanatyków zdołało panować nie tylko nad 700,000 ówczesnych Paryżan, lecz nad Francją, trzymać na wodzy zmiennych i burzliwych, wystawić 14 armij w warunkach logicznie beznadziejnych. Maksymiljan Robespierre utworzył władzę оголошенą z przepychu i doświadczoną w rządzeniu żywiołem tłumów. Zgubił ich ciasny dogmatyzm. Tępiąc religię objawioną i wskami umocniony kult, głosili mglisty Deizm, niezdolny zaspokoić potrzeb duszy. Nie umieli zaspokoić potrzeb ciała, bo nikomu poza ich sektą nie mógł wystarczyć na długo wyjąłowany stoicyzm, wzywający do zaparcia się instynktów, gdy równocześnie instynkty te uznano za nieomyślne i święte. Rychło więc zmiotła ich z widowni tryumfatorka wieku XIX, plutokracja demokratyczna, bastardka, zrodzona z epikureizmu schyłkowego *ancien-regime'u* i z młodej żądzy użycia stanu trzeciego. Terrorzyści jakobińscy w swoim posępnym heroizmie mieli poczucie, iż sami nie wejdą do urojonej ziemi obiecanej, lecz chcieli doprowadzić do niej lud i zginać na jej gra-

nicy. Nie potrafili i nie mogli „złać partji z narodem w jedną całość”, jak to uczynił faszyzm, uwzględniający szeroko zarówno irracjonalne, jak przyrodzone potrzeby rzeczywistego społeczeństwa i jednostek. Umiejętnie, ku podziwowi sąsiadów, wcielane we Włoszech w czyn *credo* faszystów brzmi:

„Pragnie ustroju, w którym wszystkie popędy niskie i okrutne byłyby spętane, a wszystkie porywy szlachetne i dobroczynne rozbudzane przez prawa, to jest autorytet, hierarchję, karność... Dążymy do ustroju, w którym ojczyzna zapewnia pracę w dobrobycie każdej twórczej jednostce, a w którym każda jednostka raduje się dobrobytem i chwalebą ojczyzny”.

TADEUSZ ROZWORA

SZTUKI PLASTYCZNE

WILNO I WARSZAWA

TAK się złożyło, że w warszawskiej „Zachęcie” znalazły jednocześnie gościnę: stołeczne stowarzyszenie malarzy p. n. „Pro Arte” i „Wileńskie Towarzystwo Artystów Plastyków”. Grupa warszawska otrzymała zaszczytną i wygodną salę, przez którą przechodzi się do sali „Grunwaldu”, artyści kresowi—dwa mniejsze, skromne pokoiki po drugiej stronie.

Grupa warszawska, mimo szumnej a zobowiązującej nazwy „Pro Arte”, dziwnie jest od istotnych celów i dążeń artystycznych daleka. Wystawione prace — to właściwie tylko towar na sprzedaż, przyszłe „podarki ślubne” lub oficjalne „ozdoby” salonów ludzi, których sztuka nigdy nie obchodziła i nie obchodzi. Jakże tu szukać jakichś szczerych, prawdziwych wzruszeń, borykania się z nowymi zagadnieniami artystycznymi, świeżego, bezpośredniego na świat spojrzenia? „Kupująca publiczność” miałaby słuszną pretensję, gdyby np. Cieślowski nie dał jej zwykłych widoków Warszawy, a Bagiński wyprodukował nagle coś innego, niż „epizod wojenny” lub „przemarsz ułanów przez wieś”. A zresztą, czegoż wogóle można żądać od Gorskich, Jasińskich, czy Piątkowskich?

Jak inaczej przedstawia się wystawa artystów wileńskich! I tu wiele dzieł słabych, niedociągniętych, niekiedy nawet — zwłaszcza w dziedzinie rzeźby — zupełnie nieudanych, ale na każdym kroku widzi się i odczuwa przedewszystkiem rzetelny, szczerzy, korny nawet stosunek do sztuki, powagę artystycznych intencji. To poważne ustosunkowanie się do swego dzieła widoczne jest przedewszystkiem w szlachetnych, choć zbyt po doktrynersku prymitywnych portretach Karnieja, w pejzażach Roubi i nie zawsze zresztą uwieńczonych powodzeniem eksperymentach znakomitego rysownika i szczerzego, bardzo kulturalnego artysty, Ludomira Ślendrańskiego. Talent rasowy, prawdziwy objawia się w dziełach Bronisława Jamontta. Jego „Pejzaż z kapliczką” zadziwia intensywnością poetyckiego nastroju. Posługując się staroświecką techniką tempery, potrafił Jamontt — mimo pewnej jednostronności, grożącej popadnięciem w manierę — dać szereg dzieł o niezwyklej świeżości i sile, roztoczyć przed oczyma widza tajemny czar wnętrza puszczy, polan leśnych, olbrzymich drzew i rzewne, melancholijne piękno murów starego Wilna.

Pośmiertna wystawa dzieł ś. p. Stanisława Straszkiewicza okazuje nam utalentowanego artystę, który uległszy raz potężnej indywidualności Chełmońskiego, do końca życia pozostał wiernym, pełnym umiłowania uczniem swego mistrza.

K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Władysław Konopczyński prof. Konstytucja Rzplitej Polskiej (Ustawa z d. 17 marca 1821 r.). Wydanie II przejrane i uzupełnione. Warsz. 1926. Perzyński, Niklewicz i Sp.

Roman Dmowski. Kwestja robotnicza wczoraj i dziś. Warsz. 1926. Tamże.

Bronisław Boufałł. Organizacja stronnictw politycznych w Anglii i Stanach Zjed. Ameryki. Warsz. 1926. Tamże. Str. 51.

Włodzimierz Wakar. Zadania państwa, samorządu i społeczeństwa w sprawie organizacji oświaty elementarnej i zawodowej. Warsz. 1926. VIII i 167.

Wincenty Witos. Czasy i ludzie. Tarnów (1926). Str. 15.

Karol Pomorski. Józef Piłsudski jako wódz i dziejopis. Warsz. 1926 (Księg. Hoesicka). Str. 112.

Artur Opman (Or-ot). Poezje. T. I. Stare miasto. Wydanie zupełne z port. autora. Warsz. 1926. Geb. i Wolff. Str. 234.

Lucjusz Komarnicki. Teatr szkolny. Ogólne założenia, z praktyki teatru szkolnego, teoria teatru szkolnego. Z 12 ilustr. Warsz. 1926. Str. 164.

Adam Skałkowski. Z dziejów insurekcji 1794 r. Warsz. 1926. Gebethner i Wolff. Str. 248.

Franciszek Herczeg. Gyurkovicsowie. Powieść w 3 częściach. Z węgierskiego przełożyła B. Jaroszeńska. Wyd. II kompletne. Poznań 1926. Księg. św. Wojciecha.

Feliks Gwiżdż. Obrazy na szkle. Poznań. 1926. Księg. św. Wojciecha.

Cecylja Plater Zyberkowa. Na progu małżeństwa. Wyd. II. Poznań. Tamże.

Ks. biskup Bougaud. Kościół. Wyd. II. Poznań 1926. Tamże. Str. 506.

M. Rulikowski. Skarb narodowy literatury, nauki i sztuki. Uwagi nad wniesionym do Sejmu projektem. (Warsz. 1926). Nakładem autora. Str. 16.

O stosunku Banku Związku Spółek Zarobkowych do Polaków amerykańskich. Poznań w styczniu 1926. Str. 20 i dod. 3 str.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała:

Fryderyk hr. Skarbek. Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego, czyli czysta teoria ekonomii politycznej. 2 tomy. Bibl. Wyższ. szkoły handl. Str. 250 i 198.

J. M. Kulischer. Dzieje gospodarcze Europy zachodniej. Przełożył K. Morawski. T. II. Czasy nowożytne. Bibl. W. Szkoły handl. Str. 249.

Stanisław Kot. Dzieje wychowania. Podręcznik dla seminarjów naucz. Str. 334.

Marja Konopnicka. Poezje. Wydanie zupełne, krytyczne. Opracował Jan Czubek. T. X. Pan Balcer w Brazylii. Str. 512.

Piotr Choynowski. Kuźnia. Powieść historyczna z lat 1861-63. Wyd. II.

Piotr Skarga. Kazania sejmowe. (Wybór). Z objaśnieniami Ign. Chrzanowskiego.

Ksawery A. Świerkowski. Przewodnik po bibliotekach warszawskich. Str. 61.

Ladislav Jablonowski. *Gl' influssi e i compiti del fascismo*. Roma, 1926. Odbitka z „*La vita italiana*”. Luty, 1926. Przełożył z polskiego Egisto de Andreis.

Przegląd Wszechpolski, marzec 1926 (Warszawa, Zgoda 5). Cena 3 zł.

Ruch Literacki. Warszawa, marzec, nr. 3.

Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny, organ Uniw. Poznańskiego, pod redakcją prof. A. Peretiatkowicza, kwartał I 1926. Poznań. Str. 307.

Przegląd Historyczny, wydawany przez Tow. Miłośników historii. Warsz. 1925. Serja II, tom V, Str. 413. oraz Indeks LVI.

Przegląd Bibliograficzny, dwutyg. nr. 6 z 15 marca. Warsz. Gebethner i Wolff.

Przegląd Księgarski, dwutyg., organ Związku księgarzy polskich, Warsz., nr. 4—5.

Przegląd Polityczny, Warszawa 1926, zes. 4 (kwiecień).

Przegląd Powszechny. Kraków 1926, kwiecień.

Prąd. Miesięcznik, poświęcony zag. religijnym, narodowym i społecznym. Warsz. 1926, kwiecień (Krak. Przedm. 7 m. 15).

Revue internationale antibolchévique. Publication mensuelle du Bureau de l'Entente Intern. contre la III internationale. Mars 1926. Z ilustr. Str. 122.

NA MARGINESIE

Komuniści wywołują rozruchy w różnych punktach kraju przy pomocy robotników, pozostających bez zajęcia i szumowin społecznych. Niedawno doszło do starcia tłumów z policją w Kaliszu, obecnie w Stryju. Z powodu tych zajść w obu miastach rząd zawiesił w urzędowaniu starostów: w pierwszym wypadku za to, że starosta nie kazał strzelać, w drugim—za to, że kazał strzelać. Jeszcze nie zawieszani starostowie pytają zakłopotani, co mają w podobnych wypadkach czynić, żeby uniknąć zawieszania. Odpowiadając na to pytanie, rząd tem samem musiałby wypowiedzieć swój program, a więc nic nie odpowie.

*

Krytyk literacki organów semi-polskich p. E. Breiter, pisząc o poezjach utalentowanej poetki („N. Kur. Pol. z 3.IV), utrzymuje, że owa poetka

„idzie śladami rzeczy nie tyle prostych, ile najcichszych, śladami rzeczy niewidocznych. Zaludnia niemi swój świat poezji, wyobraźnią kształtuje ciszę i to, co pod jej fałdami się ukrywa. Nie jest to jeszcze poezja niewiadomego, ale poezja rzeczy pozazmysłowych”...

Pytanie do nagrody: co poetka pod fałdami kształtuje? Czyje fałdy właściwie krytyk miał na myśli — czy zaimek „jej” odnosi się do poetki, do wyobraźni, czy też do ciszy? Zdaje się, że wogóle to, co p. Breiter pisze o poezji, jest krytyką... niewiadomego; odgaduje poezję, jak szaradę. Jest zmysłowy; czego nie widzi, to chciałby przynajmniej usłyszeć, jeśli nie dotknąć, a że nie słyszy, więc musi to być coś... „najcichszego”. On wszystko wie (oczywiście), więc i to nie może być „niewiadome”, choć niedostępne jest zmysłom. To go właśnie w czytaniu intryguje, a w pisaniu doprowadza do... najwyższych rozmiarów fejletonu. Skoro p. Breiter tak lubi szarady, niech powie, co to jest: Frazesem, jak obręczą, kształtuje próżnię i to, co się pod jej klepkami ukrywa; rzecz nie prosta i nie najcichsza?

Pusta beczka. —

*

Ktoś w Krakowie przezwiał się Jalu Kurek i pisze kalendarzowo-dziennikarską powiastkę, na końcu zaś dosypuje kwiatków „poetyckich”, jako że:

wiałr wlewa mu w rękawy zatrute wino tęsknoty —
popołudniu o 2, 3, 4, godzinie trzeba na siebie łać białe mleko dnia i żuć w wargach włosy północnych (?) kobiet —
Złożone ręce chmur wydzwanają z siebie płonący pacierz światu —

Krzyki na krzyżach drzew —
o wschody, pachnące jak łąki i kolorowe, jak reklamy, prosi-Cię, Panie! —

U nas tak w Krakowie się pisze! Peiperyzm (nie Pauperyzm): Peiper, Przyboś, Klituś, jeszcze raz Peiper, Bajduś, Brzękowski, Kurek. Cała szkoła zuchwałych reporterów, stojących na głowie, aby tylko ktoś spojrział i kupił za obola książeczkę. Mówią o literaturze: bulwarowej, kolejowej, buduarowej, o humorze szubienicznym. Ale ta poezja ani na buduar ani na szubienicę; bądźmy skromniejsi — na sznureczek i na gwoździć. Niech mu ta poezja będzie lekka, a miejsce niech ją przyozdobi.

*

„Przegląd Wieczorny” (Nr 68) donosząc o walnem zebraniu Akademickiego Koła Przyjaciół Ligi Narodów, zaznacza:

„Zmiana nazwy oraz poprawka do statutu, w myśl której członkowie obowiązani są „propagować idee Ligi Narodów. lecz tylko w zgodzie z polską racją stanu” zmieniają całkowicie dotychczasowy charakter organizacji”.

Ładnych rzeczy dowiadujemy się ze sprawozdań dziennikarskich! Osobliwie musiała być prowadzona instytucja, jeżeli uzgodnienie jej działalności z polską racją stanu zmienia całkowicie dotychczasowy charakter organizacji! Warto, aby dotychczasowi kierownicy stowarzyszenia spróbowali wytłumaczyć tę ciemną sprawę...

LISTY DO REDAKCJI

Otrzymałmy list następujący:

Szanowny Panie Redaktorze!

Mam zamiar wydać wszystkie powieści i nowele ś. p. Ojca mego, Klemensa Junoszy.

Ponieważ utwory te na rynku księgarskim są oddawna wyzerpane, zaś biblioteka moja podczas wojny uległa zupełnemu zniszczeniu, zwracam się za pośrednictwem poczytnego pisma Szanownego Pana do szerokiego ogółu z gorącą prośbą o użyczenie mi lub odstąpienie książek ś. p. Klemensa Junoszy, dawniej wydanych, co umożliwiłoby mi wykonanie podjętego zadania.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania

Władysław Junosza Szaniawski.

30 marca 1926.

Warszawa—Nowy Świat 12 m. 3.

TOWARZYSTWO Sosnowieckich Fabryk Rur i Żelaza

SP. AKC.

ZARZĄD GŁÓWNY I BIURO SPRZEDAŻY: WARSZAWA, MAZOWIECKA № 7.
TELEFONY. 67-27, 67-28, 51-61, 25-93, 25-94. ADRES DLA DEPEZ: Hulczyński, Warszawa.

Zakłady w SOSNOWCU i ZAWIERCIU wytwarzają:

RURY BEZ SZWU czarne i ocynkowane ze stali Siemens-Martin. Rury do kotłów wszelkich systemów i przewodów parowych. Rury do gazu i wody. Łączniki kute i kuto-lane do rur. Rury do parowozów, rury do hamulców. Rury wszelkie dla Przemysłu Naftowego. Rury wiertnicze do studni artezyjskich. Rury kołnierzone wszelkiego rodzaju. Rury cienkościenne do aparatów cukrowniczych, rowerowe i acroplanowe. Węzownice z rur do chłodzi, przegrzewaczy i różnych aparatów.

RURY SPAWANE PODSADZKOWE. Rury do przewodu gazu ziemnego. Rury do kanalizacji, bez szwu i spawane. Słupy z rur do lamp elektrycznych, tramwajów, telegrafu i telefonów. Butle stalowe do gazów ściśniętych. Beczki żelazne.

BLACHY grube, cienkie, dachowe w gatunku handlowym i wyższych gatunków. Żelazo uniwersalne, mostowe, handlowe.

LEMIESZE i ODKŁADNIE różnych systemów. Żelazo ciągnięte na zimno (kalibrowane). Rury powietrzne z blachy cienkiej i kształtki do tychże.

PRZEDSTAWICIELSTWA:

w ŁODZI, Mieczysław Hertz, ul. Tadeusza Kościuszki 69.
w POZNANIU, St. Grabianowski i S-ka, Pl. Wolności 14a.
w BYDGOSZCZY, St. Grabianowski i S-ka, ul. Dworcowa 66.
w KATOWICACH, Tow. „Tepege”, ul. Warszawska 4.
w LWOWIE, Tow. „Tepege”, ul. Św. Mikołaja 12.

w BIELSKU, Tow. „Tepege”, Pl. Garncarski 5.
w BORYSŁAWIU, Tow. „Tepege”, na Hubiczach.
w KROSNIE, Tow. „Tepege”, ul. Kolejowa.
w GDAŃSKU, Centrala Kresowa dla Handlu, Przemysłu i Rolnictwa, Poggenfull 10.

OFERTY NA ŻĄDANIE.



NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE
MASZyny DO PISANIA
„UNDERWOOD“

MODELE NORMALNE BIUROWE,
MAŁE DO PODRÓŻY I CICHE.
MASZyny DO LICZENIA
WIECZNE PIÓRA WATERMAN'A i t. p.

POLECA:

G. GERLACH

WARSZAWA, OSSOLIŃSKICH 4. TEL. 1-77.

KONCERN NAFTOWY „DĄBROWA“

SP. Z OGR. POR.

REPREZENTACJA W WARSZAWIE

UL. MARSZAŁKOWSKA 151. TELEFON 106-97, 165-95.

WŁASNE RAFINERJE:

GAL. KARP. NAFT. TOW. AKC. W GLINIKU MARJAMPOLSKIM,
„JEDLICZE” S. A. W JEDLICZU, „DZIEDZICE” AKC. SP. NAFT.
W DZIEDZICACH.

WŁASNE FABRYKI:

GAL. KARP. NAFT. TOW. AKC. FABRYKA MASZYN I NARZĘDZI
WIERTNICZYCH W GLINIKU MARJAMPOLSKIM I BORYSŁAWIU.

BIURO SPRZEDAŻY:

„HARPATY” SPRZEDAŻ PRODUKTÓW NAFTOWYCH SP. Z OGR.
POR. FILJA W WARSZAWIE UL. MARSZAŁKOWSKA 151
TEL. Nr. 172-74, 224-81, 282-04.

SKŁADY PRZY UL. GNIEWKOWSKIEJ 47. TELEFON 12-80.

STACJE BENZYNOWE:

NA PLACU TRZECH KRZYŻY I KRAK.-PRZEDMIEŚCIU.

SPECJALNOŚĆ:

BENZyna, OLEJE SAMOCHODOWE MARKI „G A L K A R”



ZASTOSOWANIE OLEJÓW SAMOCHODOWYCH MARKI „G A L K A R” WYKAZAŁO TAK POD WZGLĘDEM TECHNICZNYM JAK I EKONOMII PIERWSZORZĘDNE REZULTATY. ŻĄDĄCIE TABELI POLECAJĄCEJ.

TREŚĆ: Zasadnicza przemiana J. Zamorskiego. — Skarb Narodowy Nauki, Literatury i Sztuki Wł. Konopczyńskiego. — O trzech polskich „Faustach” W. Hulewicz. — Święty Franciszek z Assyżu J. Papiniego. — Hymn o Św. Franciszku z Assyżu G. T. Hennera. — Liberum veto Al. Świętochowskiego. — Głosy: „Zwycięstwa jakich pradziadowie nie znali” P. S.; Dawniej i dzisiaj A. Żwana. — Przegląd polityczny Ign. — Nauka i literatura. — Ad rem... T. Rozwory — Sztuki plastyczne K. L. — Nowe książki. — Na marginesie. — Listy do Redakcji.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski”, sp. z o.o., Warszawa. Chmielna 27. Telefon 27-15.